Nr. 204. Lwów — Czwartek dnia 4 Września. Rok 1902.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 60 h. Reklamy po kresice wiersz petit. 1 K. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . 60 h.

Dziś: św. Rozalii P. | Agatonika M. — Jutro: św. Wawrzyńca B. | Lupusa M. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 5 m. 28. Zachód 6 m. 29 | Długość dnia godzin 13 minut 1. Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

O sądzie rozjemczym.

Skończyła się pierwsza i główna część procesu o Morskie Oko, jawna rozprawa w Gracu, która zupełnie wyjaśniła stronę teoretyczną, historyczną i prawną tego sporu, a ustaliła także stronę faktyczną, o ile to było możebnem przy zielonym stoliku, zdala od samego terenu, o który spór się toczy. Resztę dokona wizya lokalna, która się odbędzie w tym tygodniu; po powrocie do Gracu przemówią wprawdzie jeszcze raz obrońcy na jawnem posiedzeniu, ale już tylko o wynikach oględzin i pomiarów, na miejscu uczynionych. To wszystko zatem, co społeczeństwo polskie miało do wypowiedzenia na uzasadnienie swych praw i celem przechylenia szali na swoją stronę, już zostało wypowiedziane i sąd o tem już dziś jest możliwy.

Owóż stwierdzić należy, bez względu na to, jaki zapadnie wyrok ostateczny, że sprawa nasza była w Gracu reprezentowana wprost świetnie. Nietylko, że zastępcy nasi byli wzorowo do rozprawy przygotowani, uzbrojeni w cały aparat naukowy, nietylko, że objawili wielką szybkość w oryentowaniu się, która im umożliwiła sparować wszelkie niespodziewane cięcia przeciwników, ale, co większa, umieli traktować sprawę z najwyższego stanowiska, na którem uwzględnia się nietylko to, co jest dla własnej sprawy korzystne, ale także to, coby mogło przemawiać za przeciwnikiem. Tem najpiękniej udokumentowali zastępcy nasi, że nam idzie tylko o nasze słuszne prawa, a nie o jakieś uroszczenia, że chcemy mieć racyę dlatego tylko, iż po najbardziej bezstronnem ocenieniu wszystkich momentów *pro* i *contra* żądania nasze wydają się nam uzasadnionemi.

Pod tym właśnie względem spotkał się referat arbitra naszego, dra Tchorznickiego, w pewnej części prasy polskiej, zwłaszcza warszawskiej, z krytyką. Nie rozumiano, dlaczego p. Tchorznicki, występujący po stronie polskiej, przytaczał niektóre takie racye, któreby, zdaniem owych dzienników, przytoczyć powinni tylko reprezentanci strony węgierskiej. Zapomniały tylko te pisma, że p. Tchorznicki jest arbitrem, to jest sędzią, który ma oddać swój głos tej sprawie, którą, po sumiennem, bezstronnem zbadaniu racyi za słuszną uważa, a nie adwokatem, który z samej natury rzeczy musi być jednostronnym. Oczywiście, gdyby nie uważał naszej sprawy za słuszną, a znał ją przecież z gruntownych studyów, toby mógł nie przyjmować urzędu arbitra, ale nie wynika z tego bynajmniej, żeby w referacie swym miał przedstawić swoim współarbitrom już tylko ostateczny wynik swych rozmyślań, a nie cały ów materyał, na którego podstawie do owego wyniku doszedł. Właśnie obowiązkiem jego było streścić ów materyał bezstronnie i sumiennie. Tylko ta strona, która uważa swoją sprawę za niesłuszną, może obawiać się takiego stanowiska.

Ale owe dzienniki, o których wyżej wspomnieliśmy, specyalnie obawiały się, że przytoczenie takich racyi może wywrzeć niepożądane wrażenie na superarbitrze, od którego zdania ostatecznie wszystko zależy. Pod tym względem obawy ich już najmniejszej racyi nie mają, i można przecież powiedzieć, że nawet ze względu na praktyczny efekt właśnie to stanowisko naszego arbitra było najodpowiedniejsze. Dr. Winkler jest wytrawnym sędzią, najwyższym w swej ojczyźnie, który niezliczone już razy znajdować się musiał w sytuacyi takiej, że słysząc namiętne zapewnienia i przekonywania stron, zapytywał sam siebie, o ile te twierdzenia mogą być prawdziwe, a argumenta słuszne. Czyż takiego człowieka można przekonać samą tylko natarczywością argumentów, czyż nie o wiele większe wrażenie czynić musi na nim takie traktowanie sprawy, do jakiego on sam przywykł, i tego każdy używa, kto chce w czemkolwiek prawdy dociec. Ale ten praktyczny wzgląd był nie najwyższym, lecz był nim — jakeśmy już wspomnieli — obowiązek nałożony na osobę arbitra. Przecież osobny był obrońca naszej sprawy, który — jak wszyscy wiemy — z zadania swego wywiązał się w sposób znakomity. A niemniejsza jest zasługa dra Korna, trzeciego zastępcy, którego wywód był wprawdzie najbardziej suchy, bo dotyczył spraw czysto administracyjnych i biurowych, ale ogromnie doniosły. Słowem, każdy z naszych trzech zastępców był w jak najwyższym stopniu tem, czem z urzędu swego być powinien, i to największą jest pochwałą, jaką tym mężom oddać można. To też na wszystkich ludziach bezstronnych ich wystąpienie musiało wywrzeć wrażenie bardzo dodatnie i to jest chlubą dla nas, bez względu na to, jaki obrót weźmie sprawa przynależności Morskiego Oka.

Jak tworzyć przemysł?

Jednym z głównych powodów, dla których doznajemy tylu bolesnych rozczarowań w usiłowaniach naszych, zmierzających do stworzenia własnego przemysłu, jest to, że staramy się wytworzyć go z materyałów, których nie mamy u siebie w kraju. Przez to z góry skazani jesteśmy na porażkę w walce konkurencyjnej z obcym przemysłem. Gdybyśmy jednak usiłowania nasze przemysłowe skierowali na właściwe tory, tj. starali się tylko o to, aby te surowce, jakie mamy, przerabiać we wszelki możliwy sposób, w takim razie praca nasza wydałaby niewątpliwie lepsze owoce. Pod tym względem powinniśmy się uczyć od Amerykanów. Oni tylko tam zabierają się do tworzenia przedsiębiorstw przemysłowych, gdzie sprzyjają temu naturalne warunki. Najlepszym przykładem tego jest Chicago. Przed laty kilkudziesięciu nie było tam ani śladu ruchu przemysłowego, była to osada cicha w kraju pasterskim, nie mającym nic, prócz nieprzejrzanych trzód bydła. Dziś jest Chicago jednem z najbardziej przemysłowych miast na świecie, ale stało się niem jedynie dlatego, że praktyczni Amerykanie nie silili się na tworzenie tam innego przemysłu prócz tego, jaki związany jest z hodowlą bydła.

Powstał więc tam przemysł mięsny, o jakim my tu nawet pojęcia nie mamy.

Chavette w jednej ze swoich fantastycznych powieści opisuje maszynę, w którą z jednej strony kładą żywą świnię, a z drugiej strony wydobywają gotowe szynki, kiełbasy, kiszki i t. d. W Chicago dzisiaj taka maszyna przestała już być bajką.

Dzielnica, w której zajmują się produkcyą konserw mięsnych, tak zwana „Packing Town“, zajmuje przestrzeń 300.000 metrów kwadratowych, z których 32 kilometry użyto pod ulicę, a 250 pod kolej żelazną. W nieskończenie długich oborach i chlewach same koryta zajmują przeszło 120 kilometrów. Średnio w ciągu roku biją tutaj 3,000.000 wołów i 5,000.000 nierogacizny. Urządzenia wszelkie doprowadzone są do takiej doskonałości, że w razie potrzeby mogą dziennie załatwić się z zabiciem i przyrządzeniem 125.000 świń, 20.000 wołów i 15.000 baranów.

Tę nadzwyczajną szybkość produkcyi osiągnięto przez zaprowadzenie i wydoskonalenie maszyn. Wszystko się tu robi maszynami i elektrycznością. To też pierwotny „rzeźnik“ przekształcił się tu na „inżyniera“.

Stado świń, przeznaczonych na rzeź, wypuszczone zostaje z chlewa na pewnego rodzaju podwórko, specyalnie do tego urządzone, zwężające się raptownie, co zmusza pędzone z tyłu świnie do ustawienia się sznurem, jedna za drugą. Tak wchodzą do kurytarza ciasnego, w końcu którego umieszczone wielkie koło żelazne, obracające się wolno i jednostajnie. Każda sztuka, pchana z tyłu przez współtowarzyszki, musi się zbliżyć do koła, które ją stosownym przyrządem chwyta i unosi w górę. Na połowie wysokości koła stoi z nożem rzeźnik, którego obowiązkiem jest poderznąć świni gardło, poczem koło unosi ją wyżej, a na jej miejsce nową sztukę pod nóż się podsuwa. Zabite sztuki koło odsuwa mechanicznie dalej, gdzie cały proces skrobania, czyszczenia, a następnie solenia i przyrządzania odbywa się za pomocą maszyn z błyskawiczną szybkością, w stosownie do potrzeby ochłodzonych salach. Sposób przyrządzania szynek, które, jak wiadomo, do zamarynowania muszą przez pewien czas leżeć w sosie, stanowi sekret fabryki.

W taki sam sposób, jak z nierogacizną, postępują z bydłem i z baranami, tylko urządzenia są odpowiednio przystosowane.

Wołowinę w przeważnej części przyrządzają na konserwy w pudełkach metalowych, na wywóz. We Francyi te konserwy nazywają krótko: „Chicago“.

Przemysł mięsny wytworzył tam mnóstwo innych fabryk. Ponieważ z zabitego bydła zostają skóry, przeto założono wiele garbarń i fabryk wyrobów skórzanych, dla zużytkowania kopyt, rogów i kości powstały fabryki guzików, spinek i innych artykułów, z krwi zwierzęcej wyrabiają tam fabrycznie środki chemiczne dla anemicznych, dla przerabiania tłuszczu zwierzęcego powstały fabryki margaryny, świec i mydła. — W ogóle tylko takie fabryki tam powstały, jakie mają związek z główną gałęzią produkcyi krajowej, tj. z chowem bydła, a nie silono się wcale na wytworzenie tam innych gałęzi przemysłu, np. fabryk wyrobów metalowych lub tkackich. Tak postępują ludzie praktyczni i tylko takiem postępowaniem osiąga się rezultaty.

I my powinniśmy postępować tak samo, a ponieważ kraj nasz jest rolniczym, przeto powinniśmy dbać przedewszystkiem o podniesienie rolnictwa i o rozwinięcie przemysłu, opartego na rolnictwie.

Co i o czem piszą.

Biblioteka dzieł wyborowych wydała książkę p. t.: „Sztuka życia“, pióra Amerykanina Orissona Swett-Mardena. Podtytulik brzmi: „Książka, mająca zachęcić i natchnąć wszystkich do odznaczenia się na drodze wiedzy i obowiązku“. Zaprawdę, ona to może uczynić.

„Sprawy tego świata nie zmieniają się, dopóki ktoś ich nie zmieni“ — powiedział Garfield. Otóż cały wysiłek autora skierowany jest do tego, aby czytelnika przekonać, że w mocy ludzkiej jest wszystko, że niema tak trudnego zadania, któregoby nie można było wykonać, tak niskiego położenia, z któregoby się nie można było wydźwignąć.

— Pozwólcie, że wam powiem, iż co się tyczy niepomyślnych okoliczności — rzekł dr. Talmage do pewnych młodzieńców — to jesteście dziś na tym samym poziomie, na jakim znajdują się ci, którzy ostatecznie dopną swego celu. Zwróćcie uwagę na moje słowa i pomyślcie o nich od dziś za jakie lat 30. Przekonacie się, iż ci, którzy od dziś za lat 30 będą milionerami, mówcami, poetami, kupcami, największymi filantropami swego kraju, ludźmi wpływowymi w kościele lub w państwie, są obecnie na równym z wami poziomie, ani o jeden cal powyżej was nie stoją i teraz, jak wy, w trudnych znajdują się okolicznościach.

Edison przechodził ciężkie doświadczenia. Dość powiedzieć: był roznosicielem gazet. A jednak więcej, niż ktokolwiek inny, przyczynił się do wzrostu przemysłu i zdobył sławę uczonego. Gdy go niedawno pytano o tajemnicę powodzenia, odpowiedział, że zawsze we wszystkiem był wstrzemięźliwy i umiarkowany, z wyjątkiem pracy. Daniel Manning, który był sekretarzem skarbu za prezydenta Clevelanda, rozpoczął karyerę jako roznosiciel gazet. To samo powiedzieć można o Woodzie, Hillu i innych.

Są trzy rodzaje ludzi na świecie — powiedział pewien pisarz — ludzie, którzy chcą, tacy, którzy nie chcą, i wreszcie tacy, którzy nie mogą. Pierwsi spełniają wszystko, co przedsiębiorą; drudzy przeszkadzają wszystkiemu; trzeci doznają niepowodzenia we wszystkiem.

Jest wiele siły w wierze — powiada Bulwer — nawet gdy wiara dotyczy rzeczy ludzkich i ziemskich; niech ktoś będzie stale przekonany, iż urodził się, aby kiedyś zrobić to, co w tej chwili wydaje mu się niemożliwem, a pięćdziesiąt przeciw jednemu, że zrobi to, zanim umrze.

Co możesz zrobić z człowiekiem — woła autor — który ma niezachwiany cel w duszy, który nie uznaje porażki i który, gdy w walce straci nogi, chce jeszcze walczyć na kulach? Trudności i przeciwności nie zrażają go, tylko pobudzają do większej wytrwałości. Daj człowiekowi alfabet i żelazną wolę, a kto będzie w możności zakreślić granice jego działalności?! Uwięźcie Galileusza za jego odkrycia w nauce, a on będzie robił w swej celi doświadczenia ze słomą. Pozbawcie Eulera wzroku, a on będzie tem śmielej rozwiązywać różne zadania pamięciowe, rozwijając cudowne zdolności kombinacyi matematycznych. Zamknij ubogiego kotlarza bedfordzkiego w więzieniu, a on pisać będzie najpiękniejsze alegorye na świecie, lub zostawi nieśmiertelne myśli na ścianach celi.

— Niemożliwe — powiedział Napoleon — jest to wyraz, dający się znaleźć tylko w słowniku głupców.

Jakiemi drogami osiąga się to, że niemożliwe staje się faktem, że wszystkie nasze zamierzenia spełniają się z cudownem posłuszeństwem?

— Nie marnuj czasu — rzekł Franklin — gdyż to jest materyał, z którego życie jest utkane.

Oto mamy odpowiedź.

Wszystko, czego dokonałem — mówił Burritt — odbyło się i odbędzie dzięki temu pracowitemu, wytrwałemu procesowi przyrastania, wskutek którego powstają mrowiska — cząstka po cząstce, myśl po myśli, czyn po czynie. A jeśli kiedykolwiek działałem pod wpływem ambicyi, to jej najwyższe i najgorętsze dążenia sięgały nie dalej, jak do stawiania młodym ludziom przykładu, czego można dokonać, korzystając z tych nieocenionych odłamów czasu, zwanych chwilami.

Jedna godzina dziennie, wyrwana płochym zajęciom i korzystnie użyta, uzdolnić może każdego człowieka o zwyczajnych zdolnościach do osiągnięcia zupełnego wykształcenia. Godzina dziennie pracy przez lat 10 uczyni człowieka bez wykształcenia — wykształconym. Godzina dziennie nieraz uczyniła człowieka nieznanego sławnym mężem, nieużytecznego — dobroczyńcą ludzkości. Spencer zdobył sławę w wolnych chwilach, gdy był sekretarzem. John Lubbock wsławił się studyami nad epoką przedhistoryczną, dokonywanemi po za godzinami zajęć bankowych. Wielki kanclerz Francyi napisał cenne dzieło w wolnych chwilach, czekając na obiad. Humphry Davy dokonał świetnych odkryć w dziedzinie chemii w wolnych chwilach, pracując na poddaszu apteki.

Mądry Kato powiedział, iż żałował tylko trzech rzeczy w życiu: naprzód, że żonie swej powierzył tajemnicę; że odbył raz podróż morzem, kiedy ją mógł odbyć lądem; że spędził jeden dzień, nic nie robiąc.

Aby jednak tak ciągle stać na straży samego siebie, trzeba posiadać charakter.

Charakter jest siłą — jest wpływem; on zjednywa przyjaciół; stwarza kapitał; zdobywa opiekę i pomoc; otwiera pewną i łatwą drogę do zamożności, zaszczytów i szczęścia — powiedział p. Hawes. „Charakter jest dyamentem, który szlifuje każdy inny kamień“ — dodał ktoś inny.

Kto może dokładnie określić siłę człowieka, posiadającego charakter? Kto może ocenić wpływ jednego chłopca lub dziewczyny na całą szkołę? Tradycye, zwyczaje, maniery wielu szkół zmienione zostały przez jedną lub dwie jednostki o silnym charakterze, które na swej ciasnej drodze zostały szkolnymi bohaterami. Każdy nauczyciel powie, że wiele szkół podniosło się lub obniżyło dzięki takim właśnie charakterom.

Wellington utrzymywał, że obecność Napoleona w armii francuskiej równoważy 40 tysięcy żołnierzy. Święty Bernard miał taki wpływ na ludzi, że matki kryły swoich synów, żony mężów, towarzysze przyjaciół, aby się nie dali namówić do wstąpienia do klasztoru. Jefferson pisał raz do Waszyngtona: „Zaufanie całego narodu skupia się na tobie“. Nie było tronu w Europie, któryby mógł zrównoważyć charakter Waszyngtona, a w porównaniu z nim miliony Rotszyldów wyglądają śmiesznie. Czem są ich dzieła w zestawieniu z Lincolnem, Grantem lub Garfieldem?

Jeśli jest jaka siła na świecie, która daje się uczuć — to charakter. Ktoś może być mało wykształcony, nie mieć zdolności, majątku i stanowiska, ale jeśli ma charakter, będzie wywierał wpływ i zyska szacunek.

Ludwik XIV pytał Colberta, jakim to się dzieje sposobem, że, rządząc tak wielkim i ludnym krajem, jak Francya, nie mógł podbić tak małego państwa, jak Holandya. — Ponieważ — odpowiedział minister — wielkość państwa nie zależy od rozciągłości jego ziemi, lecz od charakteru mieszkańców.

Kto ma charakter, ten zrozumie powiedzenie Cervantesa, iż każdy człowiek jest dzieckiem swoich własnych czynów. Przyszłość nasza — słusznie mówi nasz autor — będzie tem, czem ją uczynimy. Cel przez nas osiągnięty nada jej właściwy charakter. Postanowienia nasze są zarazem przepowiednią przyszłości. Nie ma świetnych nadziei, świetnych widoków dla człowieka, pozbawionego wyższego natchnienia. Człowiek jest tem, czem sobie być postanawia. Zostaw po za sobą zniechęcający do czynu pessymizm. Nie przepowiadaj złego, lecz dobre. Miej ten cel, aby sprowadzić lepsze czasy, a lepsze czasy nastaną. Ludzie, spodziewający się wielkich rzeczy, są dobroczyńcami ogółu.

Dobrze mówią, iż z tego samego materyału jeden stawia pałac, drugi chatę; jeden magazyny, drugi wille; cegły i cement są cegłami i cementem, dopóki architekt nie zrobi ich czem innem. Bryła granitu, która była zawadą na drodze słabego, staje się stopniem do wzniesienia się wyżej, jeśli jest na drodze człowieka silnego. Trudności, zniechęcające jednego, są bodźcem dla drugiego.

Trudności!

Właśnie jedną z najważniejszych rzeczy jest nauczyć się, jak wyciągnąć zwycięstwo z porażki. Nabieramy odwagi i dzielności, gdy, zmartwieni i zakłopotani upokarzającą klęską, szukamy pierwiastków przyszłego zwycięstwa. To stanowi różnicę między tymi, którzy dochodzą do celu, a tymi, którzy upadają. Nie można sądzić człowieka z jego niepowodzeń: trzeba naprzód wiedzieć, jaką korzyść z nich wyciąga.

Śledzę zawsze — pisze Marden — z wielkiem zajęciem pierwsze niepowodzenie młodzieńca. Jest to wskazówka na drogę jego życia, miara jego zdolności. Nie sam fakt niepowodzenia mnie obchodzi, lecz to, jak on przyjmie porażkę? Co zrobi następnie? Czy jest zniechęcony? Czy znikł? Czy zrozumiał, że popełnił omyłkę? Czy powstał i wziął się do swego przedsięwzięcia nanowo ze stanowczością, która nie robi sobie nic z porażek?

— Najważniejsze swoje odkrycia zawdzięczam niepowodzeniom — mawiał H. Davy.

— Niepowodzenie — powiada H. W. Beecher — zamieni kość na kamień, a chrząstkę na muskuł; czyni człowieka niezwyciężonym i stwarza natury bohaterskie, które mają wyższość nieskończoną nad innemi. Nie lękajcie się niepowodzenia. Nigdy nie jesteście tak blisco zwycięstwa, jak po porażce w dobrej sprawie.

Wilhelm II w Poznaniu.

(Telegramy „Przeglądu“).

Poznań 3 września. Wczoraj w godzinach popołudniowych ulice roiły się od tłumów, oczekujących przyjazdu cesarstwa. Wojsko tworzyło na linii półtorakilometrowej od dworca ko-

---

41)

BLANKA HALICKA

Obok szczęścia

Powieść

(Ciąg dalszy).

Było to już koło godziny jedenastej wieczór. W Wierzbowie zabierano się do spoczynku.

Od dawien dawna panował tam staropolski, patryarchalny zwyczaj, że każdego dnia zbierała się służba w pokoju swojej pani na wieczorne pacierze, które, klęcząc przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, odmawiała głośno sama pani Sławska, albo Terenia.

Dzisiaj modlitwy były już ukończone, stary służący Franciszek zaryglował już wchodowe drzwi i okiennice, gdy pani Sławska przypomniała sobie naraz, że ma do napisania ważny jakiś list, który koniecznie wyprawić musiała jutro rano; poszła więc do swojej kancelaryi, gdzie zwykle załatwiała wszystkie gospodarskie czynności, i usiadłszy tam przy biurku, szybko pisać zaczęła.

Terenia czekała, aż ona list skończy, żeby z nią razem odejść do siebie; zajmowały bowiem obie jeden duży pokój na drugim końcu domu.

Chodziła tam i napowrót po jadalnej sali, oświetlonej lampą, wiszącą nad stołem, który stał na środku.

Chwilami wchodziła w cień zupełny, to znów jasne światło padało wprost na nią, i wtedy wyraźnie widać było jej wysoką, szczupłą postać o giętkiej szyi i spadzistych ramionach, i delikatny profil, rysujący się na ciemnem obiciu ścian.

Terenia mało bardzo, lub nic prawie nie zmieniła się przez te trzy ostatnie lata.

Miała ich teraz dwadzieścia jeden, a wyglądała zaledwo na ośmnaście.

Miała zawsze w twarzy ten wyraz niezmiernie dobry i słodki, prawie dziecięco niewinny, — tylko w głębokich, ciemno-brunatnych oczach był cichy jakiś smutek, który świadczył, że i ją już zraniło życie.

Dokoła niej był taki spokój i panowało takie głębokie milczenie, że aż ta głucha cisza w uszach dzwonić się zdawała.

Tylko tam, za oknami, wyła i huczała śnieżyca zimowa, drzewa wichrem przyginane ku ziemi, trzeszczały i skrzypiały żałośnie, a czasem z pobliskiego lasu dochodziły głosy jakieś przeciągłe, ponure, przejmujące dziwną jakąś grozą — wycie wilków, które srogą zimą i głodem wypłoszone z głębi borów, zapuszczały się nocami aż pod wsie okoliczne.

Tak pusto, tak głucho, tak smutno...

Lecz Tereni właśnie dobrze było wśród tej samotności i ciszy — ta zima i ta pustka były stosownem tłem dla jej myśli i uczuć, dla jej młodości pełnej tęsknoty, która nigdy prawdziwej swobody i wesołości nie zaznała.

Pani Sławska pisała list, a Terenia chodziła wciąż cicho po pokoju, i wśród tej wielkiej, niczem niezamąconej ciszy zimowej nocy pozwalała myślom swoim bujać daleko i szeroko. Nie wybiegały one jednak w przyszłość, nie zabawiały się w rojenia złote, lecz, choć tak młodą jeszcze była, choć tyle lat życia leżało przed nią, cofała się wciąż w przeszłość, w czasy minione, bezpowrotne.

A jednak i w tej przeszłości nawet nie było szczęścia, lecz przynajmniej była nadzieja jego; a teraz i ta już znikła.

Terenia wiedziała, że Roman jej nie kocha i nie pokocha nigdy, lecz sama ani mogła, ani chciała zapomnieć.

Strzegła tylko tej swojej tajemnicy starannie, zazdrośnie, tak, że ani on (jak myślała), ani nawet matka jego, która żyła z nią razem od tylu lat, nie domyślali się tego wcale.

Dobra, kochana pani Anna! Nie przypuszczała nawet, żeby z tych jej dwojga dzieci ukochanych jedno dla drugiego mieć mogło inne jakieś uczucie, prócz braterskiej przyjaźni.

A on?

Nie dostrzegał tego, bo poprostu nie myślał o niej wcale; gdy przyjeżdżał do Wierzbowa, był zawsze dla niej bardzo dobry i serdeczny, lecz zawsze jakby z pewnem roztargnieniem, dowodzącem, że myśli jego były gdzieindziej.

Ona odczuwała to wrażliwą, uczuciową naturą swoją i cierpiała nad tem głęboko.

On w życiu miał inne cele, inne ideały; miał sztukę swoją, której od powrotu z Tonkinu poświęcił się znów z całym zapałem, miał coraz bardziej rosnącą sławę i świat szeroko przed sobą otwarty, który pociągał go i zaciekawiał wszystkimi skarbami piękna i wiedzy. A ona, biedna dziewczyna, wychowana w cichem Wierzbowie dzięki dobroci jego matki, — tylko on jeden był jej marzeniem i ideałem, i jeżeli już nie miłości, to choć przyjaźni jego pragnęła gorąco, namiętnie — przyjaźni takiej, która otwarłaby przed nią całą jego duszę, wszystkie sny i myśli najskrytsze — przyjaźni tej wyjątkowej, wzniosłej i czystej, która dwie ludzkie istoty spaja węzłem prawie równie serdecznym, a nieraz trwalszym jeszcze, niż miłość sama.

Kiedy wracał z Tonkinu przed półtora rokiem, ona tak marzyła o stosunku podobnym, tak marzyła...

Lecz świat zabrał go jej znów, zabrała praca, sztuka; gdy przyjeżdżał do Wierzbowa, kiedy kilka dni lub tygodni spędzali razem, ona czuła dobrze, że jest dla niego jakby rodzajem młodszej siostrzyczki, dla której ma się wiele dobroci i pobłażania — ale tą przyjaciółką i powiernicą, tą drugą połową jego duszy nie była, nie była...

Gdy tak to wszystko stawało jej w myśli, wydawało się jej chwilami, że nienawidzi tego świata i tych ludzi, którzy ich rozdzielali, że nienawidzi nawet tego talentu jego, z którego zawsze była tak szczęśliwą i dumną.

Lepiej byłoby może, gdyby on nie wyróżniał się niczem z pośród szarego tłumu ludzi, gdyby tu w Wierzbowie razem z nią i matką cicho pracował; ona kochałaby go równo, a należałby więcej do niej, byliby wciąż razem.

A jednak, przez niewytłumaczoną sprzeczność, napełniało ją radością i dumą, że on wyższy od tych wszystkich, którzy go otaczali.

Widzieli się ostatni raz przed dwoma tygodniami, kiedy on przyjechał tu z Warszawy na kilka dni.

Terenia wiedziała, że on tej zimy bywa wiele w świecie, że więc niechybnie spotkać tam musiał Olgę Gorwiczową i niespokojnie, z zazdrosną, gorączkową ciekawością śledziła twarz i dźwięk głosu jego, gdy opowiadał o Warszawie i karnawale.

Lecz on tak widocznie panować umiał nad sobą, że żadnej zmiany w nim dostrzedz nie mogła, nawet wtedy, gdy mówił o tryumfach i powodzeniu pięknej pani Gorwiczowej.

Mogła myśleć, że zapomniał już, że dawna miłość i rozpacz także teraz już od niego daleko, jak gdyby zamiast niego kochał był i cierpiał ktoś zupełnie inny.

Lecz jej cóż przyszło z tego, że spełniło się wreszcie, o czem marzyła i czego pragnęła przez lata całe, o co tyle razy prosiła Boga ze łzami — że on wreszcie dawnej miłości zapomiał?

Dla siebie nie miała już żadnej nadziei i zdawało się jej nawet, że obecnie zupełnie już pogodziła się z losem.

Jeżeli kiedy myślała o przyszłości, to zawsze widziała się samotną, a nawet kiedyś, kiedyś, gdy zabraknie jej i tej ukochanej opiekunki, pozostania bez żadnej ludzkiej istoty, któraby ją prawdziwie kochała.

Zimna życzliwość Romana nie wchodziła tu wcale w rachubę; sprawiała jej ona raczej przykrość niż zadowolenie.

Ale były na świecie setki tysiące stokroć jeszcze od niej nieszczęśliwszych, tysiące ubogich bez chleba, chorych pozbawionych opieki, sierot opuszczonych.

Tym najnieszczęśliwszym zawsze poświęcić będzie się mogła, gdy żyć już nie będzie dla kogo.

Cel znajdzie się u łoża chorych i nędzarzy, a spokój w klasztornej celi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lejowego do gmachu komendy generalnej jeden nieprzerwany szpaler. Dekoracya wielu domow jest bogata i kosztowna, chociaż stereotypowa i nie zawsze odznaczająca się gustem. Polacy zaniechali przystrojenia swoich domów, niemieccy wszakże właściciele domów udekorowali okna i balkony mieszkań, zajmowanych przez Polaków, a lokatorzy niemieccy okna i balkony domów polskich. Deszcz zmoczył wszystkie dekoracye. Hotel polski „Bazar“, zajmujący dwa fronty, został przystrojony przez Niemców, którzy powynajmowali w nim wcześnie pokoje. Sprzeciwić się temu nie było można, bo narażonoby się na proces o obrazę majestatu. Do iluminacyi poczyniono olbrzymie przygotowania. Tum i rezydencya arcybiskupia będą także iluminowane. Ks. arcybiskupowi Stablewskiemu odmówiono osobnej audyencyi. Będzie on na posłuchaniu u cesarza razem z innymi dostojnikami cywilnymi. W obiedzie galowym nie weźmie prawdopodobnie udziału.

Szambelan H. Morawski, znany z listu otwartego śp. Józefa Morawskiego, powołany został na służbę do cesarzowej w Poznaniu.

Poznań 3 września. O godz. 6 wieczorem przybyła tu para cesarska wraz z następcą tronu. Na dworcu odbyło się wielkie przyjęcie wojskowe. Do miasta udał się cesarz konno, cesarzowa powozem, zaprzężonym w 4 konie, pod eskortą ułanów. Przy bramie Berlińskiej władze miejskie powitały parę cesarską. Starszy burmistrz Wittig wygłosił mowę powitalną, w której wspomniał, że właśnie przed 100 laty był w Poznaniu król Fryderyk Wilhelm III wraz z żoną swą Ludwiką. Wspomniał dalej o dobrodziejstwach opieki cesarskiej nad Poznaniem i zakończył słowami, że miasto Poznań może się pomyślnie rozwijać tylko pod znakiem cesarza i pułków pruskich i wówczas, gdy każda pierś zabrzmi okrzykiem: „Jestem Prusakiem i chcę zostać Prusakiem“.

Cesarz odpowiedział: „W imieniu cesarzowej i w mojem własnem dziękuję panu za serdeczne przyjęcie, zgotowane mi ze strony miasta, za przystrojenie miasta, jakoteż za uczucia, jakim pan właśnie dałeś wyraz. Cieszy mnie, że dziś oczom moim przedstawia się inny widok niż niegdyś, w tych smutnych czasach, kiedy fale rzeki okrążały miasto i po części przepływały przez nie. Czem dziś jest to miasto, czem jest kraj ten, zawdzięczać to wszystko należy pomocy króla pruskiego. Ja, jego następca, z mojej strony, jak to już w swoim czasie na posiedzeniu w sali magistratu zapowiedziałem, niczego nie zaniedbam, co dotyczy poparcia miasta i jego rozwoju. Poznań znajduje się w tym okresie rozwoju, że nie wystarczają mu jego granice, za ciasny jest pas jego szaty, za mała dla jego głowy korona jego murów. Dlatego w dniu dzisiejszym zarządziłem, aby ustawa rejonowa raz na zawsze była zniesiona. (Burzliwe okrzyki: Hurra). Oczekuję od burmistrza i magistratu jakoteż od patryotycznych mieszkańców, że ze wszystkich sił dołożą rąk do rozwoju tego miasta i okażą się godnymi tego dobrodziejstwa, które właśnie miastu nadałem. Nie wątpię, że w krótkim czasie powstanie nowych ulic, powstanie licznych dogodnych mieszkań umożliwi także biednym egzystencyę godną ludzi i że wnet znikną brudne części miasta. W imieniu cesarzowej i w mojem własnem składam serdeczne podziękowanie za uczucia i za powitanie ze strony miasta. Dziękuję panu serdecznie, jakoteż wszystkim obywatelom i na dowód tego ściskam dłoń pańską“.

Następnie para cesarska i następca tronu wśród szpalerów wojska i wśród burzliwych owacyj ze strony nagromadzonej publiczności, wjechali do miasta. W jeneralnej komendzie, gdzie para królewska zamieszkała, odbyło się przyjęcie władz cywilnych; w tej liczbie był także arcybiskup gnieźnieńsko-poznański X. Stablewski. We wjeździe wziął także udział kanclerz Buelow.

Poznań 3 września. Na zaproszenie cesarza przybyli tu wieczorem jenerał-gubernator warszawski Czertkow, oraz komendant, jeden pułkownik i 16 oficerów z petersburskiego pułku piechoty gwardyi przybocznej Fryderyka Wilhelma III.

Poznań 3 września. Tutejsze dzienniki niemieckie witają cesarza Wilhelma w Poznaniu jako „zdobywcę kulturalnego“; przy tej sposobności dają upust swej żółci z powodu wskrzeszonego przez ludność polską wspomnienia o bitwie grunwaldzkiej. W r. 1410 — powiadają one — garstka rycerzy niemieckich w liczbie 14000 i 5000 piechoty została zgnieciona przez czerń, nasłaną przez całą Słowiańszczyznę, przez Polaków, Litwinów, Rosyan, Sarmatów (?), Tatarów itd., i wówczas barbarzyństwo odniosło tryumf chwilowy nad kulturą. Jakiż dzisiaj za to historya dała Prusakom odwet! Nietylko niemiecka siła zdobyła ten kraj słowiański, ale, co większa, niemiecka kultura święci tam zwycięstwa pokojowe, a wjazd obecny cesarza inaugurować ma nową kampanię kulturalną, która stolicę Wielkopolski, Poznań, z czasem ma zamienić w jedno z ognisk kultury niemieckiej.

Pisma te niemieckie unoszą się nad wielkością nowych instytucyi, które Poznań uszczęśliwią skarbami umysłowości niemieckiej, jako to: nowej olbrzymiej biblioteki im. cesarza Wilhelma I, projektowanej wszechnicy dla wykształcenia urzędników, nauczycieli, księży, przemysłowców, kupców i kobiet; Towarzystwa niemieckiego dla sztuki i nauki, nowego muzeum prowincyonalnego, instytutu hygienicznego itd. To są niejako wojska, które kraj, zdobyty orężem, mają ponownie zdobyć kulturalnie. Także pod względem budowlanym przygotowują się w Poznaniu wielkie zmiany, które temu miastu nadadzą piętno wielkiego miasta niemieckiego. Ten charakter udokumentuje pomnik Bismarka, który niebawem wzniesie się na nowo utworzonym pięknym placu publicznym. Kiedyż Polacy — zapytują owe dzienniki — poznają się na dobrodziejstwach, jakie na nich spływają pod panowaniem niemieckiem?

Pogadanka o letnich mieszkaniach.

Starzy ludzie opowiadają o czasach, w których mieszczanie nie wyjeżdżali na letnie mieszkania. Nie poczytywano wówczas za wielkie nieszczęście, gdy wypadło przesiedzieć lato w mieście. Na codzień wystarczał ogród miejski, w niedzielę wyjeżdżano na podwieczorek za miasto i czekano spokojnie jesieni.

Upodobania były mniej wybredne, wymagania mniejsze. O dalekich podróżach myśleli tylko najzamożniejsi. Komuś, co był w Paryżu, pamiętano to przez całe życie. Gdy ktoś dotarł do Londynu, mógł być pewien, że po śmierci wypiszą mu to w nekrologu. Podróż przedstawiała się wogóle, jako przedsięwzięcie trudne, kosztowne, wymagające długich przygotowań i jeszcze dłuższego namysłu. Ludzie byli mniej ruchliwi. Długie siedzenie na miejscu nie męczyło ich, nie denerwowało.

Letnich mieszkań nie było pod miastem, natomiast można było urozmaicać sobie porę letnią rozrywkami, o które dziś trudno.

Miasto nie było jeszcze jedną olbrzymią masą cegieł i kamienia. Między domami ciągnęły się długie pasma ogrodów. Świeżego powietrza było w obrębie rogatek dużo. Odwiedzało się więc znajomych, zamieszkujących dworki z ogrodami. Dzieci goniły po trawnikach pod lipami. Miasto nie potrzebowało się zapożyczać u wsi. Samo dostarczało mieszkańcom przyjemności wiejskich.

Później wszystko się w miastach zmieniło. Zniknęły ogrody na przedmieściach, zniknęły dworki, do których przez lato płynęły całe wędrówki narodów, a tymczasem w murach miejskich zaczynała rodzić się dziatwa o bladej twarzy, o wątłych kosteczkach, o nikłej tkance mięśniowej. Konieczność zmuszała do myślenia o zdrowiu przyszłych pokoleń.

Lekarze jęli nawoływać do wyjazdu. Zaczął się okres tłumnych wycieczek letnich.

Przedewszystkiem weszły w modę miejsca kąpielowe. Bogaci jeździli dalej, ubożsi bliżej, ale zawsze w obce kraje. Przeciw wywożeniu pieniędzy zagranicę odezwały się niebawem głosy poważne i liczne. Kąpiele i uzdrowiska krajowe znalazły gorących obrońców. Wśród narzekań na niewygody, na dziurawe dachy, złą kuchnię i brudne łazienki, ulegano zwolna tym głosom i zaczęto szukać zdrowia u wód własnych. A tymczasem chęć wyjeżdżania ogarniała coraz szersze koła. Świeżego powietrza zapragnęli i ci, których pracą przykuwa przez całe lato do miasta i ci, którym brak środków nie pozwala na dalsze wyprawy. Zaludniały się więc najbliższe wioski podmiejskie, Basiówka, Zimna Woda, zaludniały się chałupy chłopskie, dające jakie takie schronienie mniej wybrednym letnikom.

Tak było do niedawna jeszcze. Lecz na tem, oczywiście, skończyć się nie mogło. Obudziło się pragnienie innych przyjemności letnich, innych wygód, innych mieszkań, innych ścieżek, trawników, a wreszcie innego widoku z okien. Pomyślano o szukaniu odpowiednich miejsc w stronach, które pomijano dawniej. I tak powstały wille w Brzuchowicach, Snopkowie i Krzywczycach. Ale równocześnie odbywa się przemiana jeszcze inna. Inteligencyę miejską ogarnia żądza posiadania własnego kawałka ziemi, odwiedzania z wiosną własnej zagrody, przyjmowania miłych gości na własnej werandzie.

Wśród tylu smutnych spostrzeżeń, które codzień robię, rzadko doznaję wrażenia, któreby mogło sprawić mi tyle przyjemności, ile mi sprawia ten pęd do stawania się właścicielem, posesyonatem, gospodarzem na własnem podwórku.

Gdy porównamy naszą inteligencyę miejską z taką samą warstwą w Niemczech, Szwajcaryi lub w Czechach, uderzy nas przedewszystkiem w sposób bolesny niesłychanie wyraźna różnica. Rzecz oczywista, że w kraju biednym inteligencya jest uboga; bardziej rażącym jest fakt, że olbrzymi procent tej naszej inteligencyi rozpoczynał swój zawód z gołemi rękami, że tych, którzy mogli oprzeć się śmiało o jakąś podstawę majątkową, było tak mało, tak mało! Jakże inaczej bywa u narodów sąsiednich. Tam każdy coś posiada. Tam młode pokolenie nie rozpoczyna pracy na nowo. Ono pomnaża tylko dorobek pokoleń poprzednich.

A cóż dopiero, gdy policzymy tych, którzy są właścicielami jakiegoś majątku nieruchomego. Tu już o porównaniu z Niemcami nawet mowy być nie może. W wielkiem mieście niemieckiem spotykamy co krok młodzieńca, który, łamiąc się z życiem, szukając nowych dróg, borykając się z przeciwnościami, wie, że za górami, za lasami ma albo pół hektara winnicy nad Renem, albo trzecią część młyna w Turyngii, albo dworek na przedmieściu jakiejś małej rezydencyi książęcej. On wie, że gdy mu siły się wyczerpią, gdy mu świat obrzydnie, będzie mógł złożyć do snu głowę pod tą samą strzechą, pod którą tak dobrze zasypiać mu było dzieckiem.

A my? My jesteśmy, jak ten piasek lotny. Gdy przypadkiem się zdarzy, że ktoś jest właścicielem kawałka ogrodu w Dolinie, lub kamieniczki w Sączu, uważa to po prostu za ciężar. Ciężaru takiego długo dźwigać nie można, a więc sprzedać, czemprędzej sprzedać, a pieniądze umieścić w akcyach. A nuż pójdą w górę!

Rzecz dziwna! Naród, któremu cudzoziemcy przyznają tyle miłości kraju, umie pogodzić tę miłość z takim brakiem przywiązania do rodzinnego miasteczka, do łąk, na których się grywało w palanta, do wspomnień wakacyjnych i szkolnych. Jeden z głębokich obserwatorów naszego społeczeństwa zwrócił raz uwagę na to, że ci, co silnie ukochali jakiś ideał na wpół nadziemski, nie mogą równie silnie kochać rzeczy konkretnych. Miłość marzycielska nie pozostawia w sercach miejsca na proste, ludzkie przywiązanie do domu, ogrodu, zagonu.

Czyżby się to nareszcie przełamać miało? Mieszczanie kupują po paręset sążni ziemi i stawiają na nich domki: każdy dla siebie, każdy według upodobania. Na pozór wyjdzie to prawie na jedno, a jednak różnica ogromna. Z innem uczuciem wyjeżdża się do własnego zakątka, z inną starannością przyozdabia się go, inaczej się o nim myśli. A jak całkiem inaczej zapisuje się w pamięci wędrowca pobyt w zagrodzie, po której go oprowadziła rodzina gospodarza, opowiadając szczegółowo, co tu jeszcze kiedyś będzie. Powróciwszy do miasta, mamy to jeszcze w uszach,

„a cichy był domek i jasny, i czysty —
Jak człeka dobrego sumienie“.

Ale wszystko to maleje wobec ogromnego znaczenia, jakie ten własny kawał ziemi ma dla dzieci. Nigdzie nie bawią się one z taką fantazyą, nigdzie nie miewają tylu pomysłów, nigdzie się tak nie opalą i nie nabiorą takiego apetytu. Nigdzie też nie nauczą się jak tu, pamiętać o tej ziemi, którą w ich oczach kopie się i obsiewa, w której sadzi się drzewka i krzewy; nigdzie nie nabiorą w pierś takich zarodków przyszłej tęsknoty, bo trzeba się przywiązać choć do jednej skiby, jeżeli mamy kiedyś objąć sercem kraj cały, jeżeli mamy zrozumieć, co myślał poeta, gdy mówił:

Gdzieś wyrósł, tam stój, gdzieś wyrósł, tam służ,
Gdzieś wyrósł, tam skonać Waszeci!

Czarodziejski wpływ własności nie ustaje z powrotem do miasta. Długimi wieczorami zimowymi rozmowa przy stole rodzinnym powraca nieustannie do ulubionego przedmiotu. Jak to tam teraz wygląda pod śniegiem, a jak będzie wyglądało na wiosnę? Czy Brysiowi bardzo tam zimno? Czy się na wiosnę ucieszy z przyjazdu swych państwa? A jak się zdziwi, gdy zobaczy, że dzieciom przybył jeszcze jeden malutki braciszek!

Temat to niewyczerpany. Cóż dopiero, gdy się zaczną narady nad tem, czem obsadzić pagórek za domem, czem zalesić piaski za ogrodem, gdzie postawić gołębnik, a gdzie stajenkę. Każdy ma coś do powiedzenia. Każdy proteguje jakieś drzewo. Świerk, dąb, brzoza przestają być dla dzieci suchemi pojęciami z botaniki, stają się istotami żywemi, nabierają indywidualności, mówi się o nich, jak o znajomych, z którymi nas łączy niejedno.

Rozmowy takie toczą się już w ciągu zimy w niejednym domu mieszczańskim. Z czasem będzie takich domów więcej. A gdy prąd ten się wzmoże, zmienią się okolice naszych dużych miast: te miasta przestaną być podobnemi do ogromnej dyni, żółciejącej na jałowym zagonie, przestaną być kamiennym obozem, co się rozłożył w okolicy nędznej, odrapanej, pozbawionej wszelkiego wdzięku.

Z izby sądowej.

Lwów, 3 września.

(Gwałty podczas strejków rolnych).

Dziś przed zwykłym trybunałem odbywa się pierwsza we Lwowie rozprawa na tle niedawnych strejków rolnych. Oskarżonych jest 27 włościan ze wsi Głuchowic, między nimi dwie chłopki, a wina im zarzucona idzie w kierunku gwałtu publicznego, złośliwego działania wśród szczególnie niebezpiecznych okoliczności, zbiegowiska i oporu władzy. Rzecz miała się według aktu oskarżenia tak:

Dnia 22go czerwca br. poszło 20 włościan z Głuchowic na zgromadzenie strejkowe, zwołane przez posła Breitera w Czyżykowie. Przybyli tam jednak już po rozwiązaniu zgromadzenia, ale zaproszono ich do pewnej chaty, gdzie jakiś wysłannik Breitera radził im, aby i w swojej wsi strejk urządzili, a pouczając ich o zachowaniu się podczas strejku, wyraźnie powiedział im, że nie wolno dopuszczać się gwałtów. Wieczorem tego samego dnia zebrała się w Głuchowicach znaczna liczba zarobników na naradę i uchwaliła nazajutrz nie iść do roboty, jeżeli im dzierżawca Israel Niessinger nie podwyższy płacy. Mimo to następnego dnia rano pracowało 12 kobiet na łanie kartofli u dzierżawcy. Strejkujący, dowiedziawszy się o tem, postanowili odpędzić je od roboty, udali się więc gromadnie na to pole i groźbami zmusili kobiety do zaprzestania pracy. Kilku z obwinionych o ten napad było uzbrojonych w kije i motyki, więc groźby ich były przez to jeszcze bardziej skuteczne, nadto nie poprzestali oni na pogróżkach, gwałtem wydzierali robotnicom motyki, jeden zaś wziął sobie w ten sposób odebraną motykę na własność. Potem udali się wszyscy na folwark Ostrów ad Dmytrowice, aby spędzić robotników, pracujących u dzierżawcy Bardeckiego około buraków. Na pytanie Bardeckiego, czego sobie życzą, jeden z napastników odpowiedział wprost, że będą odpędzać od roboty, bo mają taki nakaz ze sądu. Ponieważ wówczas około buraków pracowali przeważnie młodzi robotnicy, więc strejkujący spędzili ich z łatwością, grożąc, że jeżeliby kto nazajutrz przyszedł, to będzie obity.

Następnie poszła strejkująca czereda do ogrodu w Ostrowie i spędziła pracujące koło kapusty dziewki. I robotnice same i inni świadkowie stwierdzają, że napastnicy grozili robotnicom, że je zabiją i gonili za niemi po ogrodzie z kijami, tak, że ledwie schroniły się na folwark. W końcu napastnicy, będąc w przeważającej liczbie, zmusili także do ustąpienia z łanu dworskiego kosiarzy, grożąc im pobiciem. Najwięcej czynnymi podczas tych awantur byli chłopi: Krysa, Muzyka, Chomiak i bracia Pańkowie.

Groźna postawa strejkujących miała ten skutek, że od 23 do 27 czerwca nikt nie zgłaszał się do roboty we dworze, tylko 26go wyszło do koszenia łąki 8 zarobników, ale i ci zostali spędzeni przez dwóch Pańków, którzy grozili, że zaraz zwołają więcej ludzi, że będą bić kosami itd.

Dnia 23 czerwca przybyli z polecenia starostwa do Głuchowic wachmistrz żandarmeryi Dejmek i naczelnik posterunku Schmid, aby rozpocząć dochodzenia w sprawie ekscesów już popełnionych. Zwołali strejkujących do kancelaryi gminnej i zbadawszy sprawę uwięzili 8 ekscedentów, skuli łańcuszkami po dwóch i wyprowadzili, aby ich odstawić do sądu powiatowego w Winnikach. Aresztowani szli z początku spokojnie, póki nie utworzyło się naokoło nich zbiegowisko, które wywołał niejaki Paulina. Ów Paulina zachęcał ich do oporu okrzykami: „absitzen! lahaj! ne chody!“ a do gapiących się innych wieśniaków wołał: „Chłopci cehła hde? kamiń hde?“ zachęcając ich w ten sposób, by brali cegły, których mnóstwo leżało koło budującego się w Głuchowicach kościoła, i rzucali je na żandarmów. Paulina wykrzykiwał różne komendy wojskowe, perswadował włościanom, że nie mają potrzeby obawiać się żandarmów, bo żandarmom strzelać nie wolno — on, jako były wojskowy, zna się na przepisach i zaręcza, że tak jest. Inny z obwinionych, Krysa, wołał: „Ciła gromada boit sia dwoch żandarmiw“, Bołozowski wzywał do odebrania żandarmom karabinów, a Prus powtarzał za Pauliną komendę: „Lahaj, ne idy!“ Aresztowani istotnie pousiadali na ziemi, nie chąc iść dalej. Naokoło konwoju powstało zbiegowisko, a żandarmów insultowano wprawdzie nie wprost, bo się ich obawiano, ale w ten sposób, że dalej stojący popychali chłopów stojących bliżej i tak naokoło żandarmów powstawał coraz większy ścisk, musieli oni wciąż odtrącać potrącanych na nich chłopów i nie mogli pilnować aresztowanych, z których czterech uwolniło się z łańcuszków i uciekło. Wezwania do rozejścia się w imieniu prawa przyjmowano szyderstwami; nawet kobiety krzyczały: „hurra na żandarmów!“ i radziły oblać ich brudnymi płynami, odebrać im karabiny i wystrzelić itp. Taka sytuacya trwała od godz. 6½ wieczór do 11stej w nocy, kiedy wreszcie chłopi ustąpili i żandarmi mogli wykonać swą urzędową czynność. Ale jeszcze gdy zastępca wójta, Dobrzański, starał się o podwody dla eskorty więźniów, krzyczał Paulina ukryty za stosem cegieł: „Stribuj i pojid', a pobaczysz szczo to bude“, a Sławicki wtórował mu: „Naj stribuje, a bude widiw, czy win bude żyw czy koni“ — czem chciał odstraszyć włościan, chcących wynająć swe fury dla żandarmów.

Rozprawę prowadzi prezydent Przyłuski, jako wotanci zasiadają radcy: Nahlik, Swaryczewski i Promiński. Oskarża prokurator p. Niewiadomski, bronią dr. Schleicher i dr. Lewicki.

Oskarżeni, prawie wszyscy młodzi ludzie, ubrani w ulubione na wsi wytarte mundury wojskowe, tłómaczą się w sposób bardzo prosty, przecząc, by nakłaniali ludzi do ustąpienia z pola za pomocą gwałtownych środków. Ponieważ żaden prawie nie umie opowiedzieć faktów, w których brał udział, przeto przewodniczący musi im ułatwiać ich tłómaczenie się zapomocą pytań mniej więcej zaczerpniętych z zeznań, które oskarżeni złożyli w śledztwie. Przesłuchanie więc każdego, przybiera mniej więcej następującą stereotypową formę:

Przewodniczący pyta: „Chodyłeś zhaniaty ludej z pola?“ Na to odpowiada każdy bez wyjątku: „Chodyłem“, gdyż nie rozumie, że już w wyrazach „zganiać“, „spędzać“ zawarta jest naganna kwalifikacya czynu.

Więc przewodniczący pyta: „A jak to buło? Czy w dobryj sposib?“ „W dobryj“. „Czyśte hrozyły, szczo budete byty, czy prosyłyśte fajno?“ Odpowiedź na to brzmi: „My prosyły“ albo: „My kazały, szczoby ne robyty, bo je sztreka“. „I ony dobrowilne piszły?“ „Dobrowilno“. „Szczożeśte wy im kazały?“ „Szczoby ne robyły“. „A jakżeśte toje tołkowały, żeby ne robyły, czy że ne wilno robyty, czy że ne tra robyty?“ Jednak już takie odróżnienie „ne wilno“ od „ne tra“ sprawia oskarżonym pewną trudność, więc przeważnie nie rozumiejąc pytania, milczą. Zdawałoby się, że oni nie pojmują wcale, iż „zhaniaty“ można w dwojaki sposób: groźbą i nakłanianiem, ale za to z zeznań ich, złożonych w śledztwie, które przewodniczący od czasu do czasu przytacza, okazuje się, że naiwność ta jest po większej części udana.

Być jednak swoją drogą może, że na wsi u ludzi prostych proszenie, nakłanianie i grożenie przybierają mniej więcej tę samą szorstką formę. I tak jeden z oskarżonych odpowiada raz, że przystąpił do strejku dobrowolnie, potem znowu, że go inni wzięli za kark i kazali iść z sobą zganiać ludzi. W słowach „potiahnuły za kark“ i „dobrowilno“ nie czuje ów oskarżony sprzeczności. Jeden inteligentniejszy natomiast, opowiadając fakt zegnania dziewcząt, zajętych około kapusty w ogrodzie, tłómaczy się bardziej pomysłowo: mianowicie, że parobcy grozili dziewczętom tylko żartem, a one „śmijały sia i utikały“, że więc z tego wypływa, iż nie użyto w tym wypadku gróźb na seryo.

Wszyscy oskarżeni powtarzają, że w gromadzie ludzi, którzy „zganiali“ robotników niestrejkujących, oni sami szli „z zadu“, z czegoby wynikało, że nikt nie szedł na przodzie, tylko wszyscy „z zadu“. Powtarzają również, że udać się do Ostrowa i zganiać tamtejszych ludzi, kazał im sam panicz, to jest syn dzierżawcy Głuchowic Messinger, Ozyasz Messinger, który im miał powiedzieć: „No kiedyście u nas spędzili ludzi, to idźcie teraz do Ostrowa i zróbcie to samo“.

Sprawa samego strejku mało bywa poruszaną podczas rozprawy, od czasu do czasu jednak potrąca o nią przewodniczący w swych zapytaniach, i wtedy okazuje się, że niektórzy z obwinionych nie mieli pojęcia, co to jest „streka“. Swoją drogą tłómaczą się oni tak i z umysłu, by uniknąć odpowiedzialności. Nieco obszerniejsze wyjaśnienia dają co do strejku starsi oskarżeni Chomiak i Mrozek. Z ich zeznań wypływa, że wysłaniec Breitera kazał postępować spokojnie, ale zarazem polecał, aby cudzych robotników nie dopuszczać. Co to znaczy nie dopuszczać? W jaki sposób miało się to stać? tego oskarżeni nie tłómaczą. W każdym razie słowo takie „nie dopuszczać“ rzucone w lud swawolnie, mogło być dowolnie rozumiane i w następstwie tego wywołało gwałty.

Najsprytniejszym z oskarżonych jest niejaki P a u l i n a, który — zdaniem aktu oskarżenia — wywołał zbiegowisko, zagrażające żandarmom. Paulina, chłop wysokiego wzrostu, ubrany jak miejski rzemieślnik, w fartuchu, odznacza się swadą w mówieniu i żywą gestykulacyą. Ufa w to, że żaden ze świadków nic ujemnego o nim zeznać nie może. Awantura z powodu wyprowadzania aresztowanych rozpoczęła się o 6 tej, a on „do tego gwałtu“ przyszedł dopiero przed 9-tą, bo był przedtem u pewnego gospodarza w odwiedziny. Wpadła tam jakaś kobieta i krzyczyła: „Bójcie się Boga, pójdźcie tam, bo tam się biją“. — „A niech się biją, co mnie to obchodzi“ — powiedział sobie oskarżony.

Dopiero później wyszedł przez ogród na ulicę i ujrzał 8 aresztowanych, siedzących na ziemi, a nadto tłum ludzi, który Paulina nazywa publicznością. „Pan wachmistrz — opowiada Paulina — spisywał ludzi, a ja stałem wtedy koło wójta. Wójt przyłożył rękę do gęby i opowiadał po cichu, jak się który nazywa z tych, co krzyczą. Ale ja ani słowa nie pisnął. Ale nie byłem koło kancelaryi (gdzie się rozpoczęła awantura) mnie tam te świadki nie widzieli, nigdy w świecie. Ja tylko tyle winien, że jak stał naród, kobiety i dzieci, żandarm, wymachiwał gwerem naflancowanym, krzycząc: „Ustąpicie się, bo was wystrzelam jak psy“, to ja wtedy powiedział: „Panowie, przypatrzcie się dobrze, to nie są psy, ale ludzie“. Ale nic innego przeciwnego na żandarmów nie mówiłem“.

P r o k u r a t o r. A kto to wykrzykiwał te komendy wojskowe: „absitzen!“, „lahaj!“

O s k. Ja nie, przecież „absitzen“, to jest komiśna komenda i znaczy, że się ma z konia zsiadać. Ze mnie to słowo nie wyszło.

P r o k. A czy to może nie wy stali za kupą cegieł i krzyczeliście na kogoś, że jak da konie żandarmom, to będzie z nim koniec?

O s k. Nie, ja tam nie był, to krzyczeli inni, a ja mówił tylko: „Chwała Bogu, że Dobrzański dał koni, teraz już będzie koniec“ — to znaczy, że będzie koniec tym hałasom.

Wypiera się także Paulina, by się znajdował na zgromadzeniu strejkowem, zwołanem przez wysłańca Breitera, jakiegoś nauczyciela, — zgromadzenie to nazywa oskarżony charakterystycznie „przedstawieniem“.

Inni oskarżeni mówią, że awantura o aresztowanych przed kancelaryą rozpoczęła się od tego, że jeden z nich szedł boso i chciał ubrać buty, a żandarmi nie pozwolili. Ci z uwięzionych, którzy korzystając z natłoku, zbiegli, tłómaczą się, iż uciekli bojąc się, że żandarmi do nich będą strzelać.

Przesłuchanie oskarżonych skończono o godz. wpół do 2 ej, poczem rozprawę odroczono do dnia następnego. Potrwa ona jeszcze dni parę, ma być bowiem przesłuchanych 33 świadków.

KRONIKA.

Lwów 4 września.

Członkowie sądu rozjemczego w sprawie Morskiego Oka w Krakowie. Wczoraj po południu przybyła do Krakowa reszta członków sądu rozjemczego, mianowicie pp. Tchorznicki, Leboczky, Korn, Laban i Balzer. Zwiedzali oni pamiątki, zabytki i okolice Krakowa. O godz. 7 wieczorem byli na przedstawieniu „Urzędowej żony“ w teatrze. O godz. 8¼ udali się stamtąd na obiad do delegata p. Adama Fedorowicza. Oprócz nich byli na obiedzie: książę Dominik Radziwiłł, dr. Bobrzyński, Józef Kościelski, dr. Włodzimierz Kozłowski, hr. Ludwik Dębicki, dr. Stanisław Tomkowicz, dr. Fr. Paszkowski, wiceprezydent m. Krakowa dr. Staniszewski, radni miejscy Rotter i dr. Domański i prof. dr. Jerzy hr. Mycielski.

Spóźnienie przyjazdu członków sądu do Krakowa nastąpiło z powodu burzy, która szalała w okolicy Wiednia, a z powodu której nie mogli na czas dostać się z dworca kolei południowej na dworzec północny.

Dzisiaj o godz. ½ 11 rano odjechali członkowie sądu rozjemczego do Zakopanego. Dyrekcya kolei oddała do dyspozycyi sądu dwa wagony salonowe, jeden z nich jest t. zw. wozem dla widoków, gdyż ma ogromne szyby ze wszystkich czterech stron, jakby szklane ściany. Wszyscy członkowie sądu wsiedli do tego wozu. Dyrekcya delegowała kontrolera ruchu p. Karlińskiego, aby w osobnym wozie towarzyszył sądowi dla ewentualnego uwzględnienia życzeń sądu, wysłania depesz etc. Tym samym pociągiem pojechał p. Józef Kościelski, dr. Ponikło i dr. Bednarski. P. Eliasz-Radzikowski pojechał już przedtem do Zakopanego.

Prof. dr. Antoni Gluziński powrócił z wakacyi i objął napowrót swoje czynności.

Odznaczenie. Cesarz nadał profesorowi gimnazyum w Tarnowie radzcy szkolnemu Janowi Kornickiemu przy przeniesieniu go w stan spoczynku krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa.

Otwarcie Filharmonii lwowskiej nastąpi 27 bm. W pierwszych dwóch koncertach inauguracyjnych wezmą udział: Salomea K r u s z e l n i c k a, jedna z najznakomitszych dziś naszych śpiewaczek, ulubieniec naszej publiczności Aleksander M y s z u g a, oraz głośny pianista paryski Zygmunt S t o j o w s k i. Program trzeciego koncertu zapowiada występ skrzypka Jarosława K o c j a n a, wirtuoza czeskiego, rywalizującego z Kubelikiem o palmę pierwszeństwa, oraz najsławniejszego w świecie barytona S a n m a r c o. Jako jeden z punktów programu wykonaną będzie kantata Henryka Jareckiego, napisana do słów „Ody do młodości“.

Rozprawy strejkowe. W ostatnich dniach w Tarnopolu zasądził trybunał 4 chłopów z Tłusteńkiego na 3 tygodnie aresztu, a 3 chłopów na 2 tygodnie za zbiegowisko. Urządzili oni 21go lipca zgromadzenie, nie zawiadomiwszy wójta i omawiali na wiecu sprawę strejku. Wójt, wziąwszy sobie do pomocy żandarma, wezwał zebranych do rozejścia się, ale chłopi otoczyli ich i przybrali tak groźną postawę, że wójt i żandarm musieli się cofnąć. Rozprawę prowadził radzca Mandybur.

Ze Złoczowa donoszą, że tam we wrześniu odbędą się trzy rozprawy strejkowe.

Komisya lekcyjna słuchaczów Wydziału filozoficznego Uniwersytetu we Lwowie, pozostająca pod naczelnem kierownictwem prof. dra Twardowskiego, poleca kwalifikowanych korepetytorów i nauczycieli domowych.

Zgłoszenia ustne przyjmują członkowie komisyi codziennie (nie wyłączając niedziel i świąt) na Uniwersytecie I p. Sala VIII między 12—1. Adres: Komisya lekcyjna słuchaczów wydziału filozoficznego, Lwów, Uniwersytet.

Konkursa ogłaszają: Izba notaryalna we Lwowie na posady notaryuszy w Śniatynie i w Kosowie. Podania do 20 września b. r. — Wydział powiatowy w Wieliczce na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Dobczycach. Podania do 1-go października br. — Wydział powiatowy w Stanisławowie na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Haliczu. Podania do 30 września br.

Politechnikę warszawską, założoną, jak wiadomo, za fundusz, złożony przez obywateli Królestwa Polskiego na pamiątkę pobytu cara Mikołaja II w Warszawie, pozwolił teraz rząd rosyjski powiększyć o nowy fakultet, górniczy.

Ogromny pożar nawiedził miejscowość Hegyalja-Mad na Węgrzech. Spłonęło 100 budynków.

Festyn na korzyść wdów i sierót po uczestnikach powstania z r. 1863 odbędzie się dnia 7 bm. na Górze zamkowej. Zapowiedziany poprzednio na dzień 6 lipca nie mógł się odbyć z powodu niepogody.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się dnia 29 zm. w Złoczowie. Oto w jednej z kamienic zawalił się balkon, a wraz z nim pięć osób, mianowicie izraelita Funkenstein z żoną i Löwenherzowa z dwojgiem dzieci. Skutek upadku był bardzo fatalny; Löwenherzowa zmarła po upływie kilku godzin, synek jej stracił wzrok wskutek pęknięcia siatkówki, mała córeczka ma twarz strasznie poranioną. Stan obojga tych dzieci jest bardzo groźny. Równie ciężkie rany odnieśli oboje Funkensteinowie. Powodem okropnego wypadku było to, że balkon zbudowany był z bardzo lichego materyału.

Z Tarnopola piszą nam: Magistrat nasz, dbały o dobro ubogich mieszkańców miasta, zbadał pokłady torfu na błoniach miejskich, a ponieważ badania wydały dobre rezultaty, przeto przystąpił do eksploatacyi, aby ubogiej ludności dostarczyć taniego opału. Zrobiono umowę z p. Stupnickim, fabrykantem maszyn rolniczych we Lwowie, który ma swojemi maszynami wydobyć i przysposobić na opał 12 wagonów torfu na próbę. Przedsięwzięte przez niego roboty są już na ukończeniu. P. Stupnicki utworzył formalną fabrykę, urządził trzy tory parowej kolejki nadpowietrznej. Pokład torfu gruby jest na 2 do 4 metrów. Wydobywanie go mogłoby postępować szybciej, ale utrudnia je półmetrowy pokład ziemi wierzchniej. Torf jest bardzo dobry, a pali się płomieniem jasnym, prawie białym. Nadaje on się w zupełności do celów motorycznych, bo mała stosunkowo ilość tego torfu wystarcza do wprawienia i utrzymywania w ruchu lokomobili o sile ośmiu koni. Po tak pomyślnej próbie magistrat nabędzie zapewne maszyny od p. Stupnickiego i zajmie się eksploatacyą torfu we własnym zarządzie. Dostarczanie torfu na opał będzie dla ludności naszego miasta, zwłaszcza dla klas ubogich, wielkiem dobrodziejstwem, w naszych bowiem stronach mało jest drzewa i trzeba za nie drogo płacić, a cena węgla dochodzi w porze zimowej do 4·40 K. za centnar metryczny, podczas gdy centnar metryczny torfu kosztować będzie

1·40 K. Wdzięczność więc należy się magistratowi za tak pożądaną innowacyę.

Ograniczenia w przyjmowaniu słuchaczów na politechnice wiedeńskiej. Rektorat tej politechniki ogłasza, że dla zapobieżenia przepełnieniu w salach konstrukcyjnych, wykładowych i laboratoryach, co przeszkadza nauce, na rok szkolny 1902/1903 przyjmowani będą w pierwszym rzędzie kandydaci z Austryi dolnej, oraz z tych krajów koronnych, w których nie ma politechniki, a następnie dopiero kandydaci z innych krajów koronnych i cudzoziemcy według porządku, w jakim się zgłosili i w miarę miejsca. Ogłoszenie to pojawiło się za pozwoleniem ministeryum oświaty.

Z teatru. „Pietro Caruso“ i „Maski“ dwa misterne utwory Roberta Bracco, które jutro po raz pierwszy ujrzymy na scenie nowego teatru, dają szerokie pole popisu dla znakomitego talentu naszego gościa p. Żelazowskiego; tymi to właśnie utworami wielki artysta podbił sobie serca całej Warszawy. Jutro, prócz powyższych, wznowioną będzie wesoła dwuaktowa komedya Korzeniowskiego „Majster i czeladnik“ z p. Romanem w roli majstra i młodym debiutantem p. Brzozowskim (synem posła) w roli czeladnika.

Podwołoczyski Oddział Towarzystwa oszczędności kobiet urządza 7 b. m. kiermasz. Stojące na czele zarządu panie: drowa Świderska, radczyni Horitzowa i panna Katznerówna, potrafiły zainteresować dla celów Towarzystwa szerokie koła inteligencyi i okolicznego obywatelstwa. Kiermasz, w którym rolę gospodyni objęła pani Kossonoczyna, a role gospodarzy: dr. Gromnicki i radzca Horitza, zapowiada się niebywale świetnie. Ogrodzono na ten cel parkanem duże pole koło Stratnicy, gdzie zostaną rozbite namioty, a mianowicie cukiernia, w której urocze panie będą sprzedawały herbatę, namiot wiejski, bufet cygański, namiot wróżki Lenormand i kilka bufetów, o których obfite zaopatrzenie usilnie starają się miejscowe panie. Będzie wydaną jednodniówka, którą roznosić będą piękne listonoszki. Do urozmaicenia programu przyczyni się też Krakowskie wesele. Komitet postarał się, aby nawet w razie niepogody zabawa mogła się odbyć w miejscu krytem.

Żywi on uzasadnioną nadzieję, że zachęcona tak urozmaiconym programem publiczność, tak z Podwołoczysk, jak niemniej i z okolicy, licznie na kiermasz przybędzie.

Wilhelm II w Poznaniu. Wszystkie dzienniki w cesarstwie niemieckiem poświęcają uroczyste artykuły pobytowi Wilhelma II w Wielkopolskiej stolicy, pokazując przez to, że do tej wycieczki przywiązują nader wielkie znaczenie. W tych artykułach rozbrzmiewają przeważnie pangermańskie hymny, nie brak jednak i krytyk, nawet dosyć cierpkich, lecz nie zawsze szczerych. Jednak do szczerych należy głos kolońskiej *Volks-Zeitung*, która tak pisze w liście z Poznania:

Melancholia osiadła na równinach. Opuściły nas wesołe śpiewaki ptaki. Wiatr goni po ścierni. Deszcze powiewe godzień zlewa, a rolnik porusza ziemię zasiew oziminy. Nie przejrzeć okiem tych żyznych niw naokół Poznania. Ludność polska jest wzburzona. Rozmaite zarządzenia rządowe wzniosły niepokój między ludnością, a oto pierwszych dni września zamierza cesarz Wilhelm II przybyć do stolicy prowincyonalnej, Poznania, na odsłonięcie pomnika cesarza Fryderyka III i na manewry.

Polaków wielce, jak wiadomo, zniechęciła malborska mowa cesarza. Jak to innemi zapisał się w ich pamięci cesarz Fryderyk III, którego pomnik właśnie ma być odsłoniętym! Jako następca tronu wyrażał on się bardzo korzystnie o żołnierzach polskich, zapewniając, że mu nie może przestępstw i zdrady zarzucić, a krew swoją oddawali jak każdy inny żołnierz pruski. To sprawiedliwość wysoko cenili w nim Polacy; kto zaś pamięta odwiedziny cesarzowej Fryderykowej podczas powodzi w Poznańskiem w miesiącu r. 1888 i jak ją tam przyjmowano, ten tego nie zapomni. Polaków ogarnął formalny szał uniesienia. Gazety polskie w entuzyastycznych artykułach wynosiły ukochaną „Wiktoryę“. Na cześć jej pobytu Górną ulicę Wałową nazwano ulicą Wiktoryi, a studnia Neptuna na placu Wiktoryi jest darem cesarzowej Fryderykowej.

Na wiosnę roku 1889 nawiedziła Poznań znowu wielka powódź. Jakie niedźwiedzie ulic zalała woda miejscami na dwa przeszło metry wysoko. Prawie dziesięć tysięcy ludzi musiano od biedy mieścić po szkołach, barakach i innych lokalach. Nędza była naturalnie ogromna, miasto musiało ponosić ciężkie ofiary.

Cesarz Wilhelm II chciał się sam naocznie przekonać o rozległości powodzi i dnia 31go marca o godzinie 5ej rano przybył na główny dworzec poznański. Zwiedził kilka zalanych ulic, za mostem chwaliszewskim wsiadł do furgonu prowiantowego i ze świtą swoją udał się przez Chwaliszewo do przytułku koło bramy Bydgoskiej. Furą moją jechałem wraz z kilkoma towarzyszami o parę kroków za cesarzem. Konie brnęły miejscami po brzuch w wodzie, a że fala waliła w poprzek drogi Chwaliszewa, więc na rogach ulic woda silnie wiry zataczała. Tu i ówdzie wisiała chorągiewka z okna. Ludzie spoglądali ciekawie na obie fury, a niewielu z nich wiedziało, że to cesarz przejeżdża właśnie ulicą. Widok był wzruszający. Mieszkańcy Chwaliszewa byli odcięci od miasta, niejeden przez całą dobę nie miał nic w ustach.

Przy tej sposobności zwiedził cesarz także główny, leżący na północy fort Winiary, gdzie przyjmowano biednych żołnierzy, prawie dziewięćdziesięcioletni „major od kluczy“ Werner gospodarzył. Starzec otwierał też drzwi, gdy cesarz szedł na górę. Odchodząc, podał cesarz staremu wiarusowi życzliwie rękę i wyrazy uznania za menniej pięciomarkówkę, którą cesarz na owem już wizerunkiem. Po paradzie i krótkiem obiedzie u naczelnego prezesa rejencyi hr. Zedlitza, udał się cesarz pod wieczór z powrotem do Berlina. Mieszkańców Poznania wielce uradowały te dowody życzliwości cesarskiej. Spodziewali się, że Warta zostanie obwałowaną, że Poznań dostanie się do dobrobytu i że nie będzie już nigdy dziś się widzieć.

Odtąd wiele wody upłynęło. Celem cesarza stało się obecnie zniemczenie i panowanie germanizmu i ludności polskiej, która toczy zaciętą walkę z rządem. Nie brak głosów, opiekujących politykę rządu względem Polaków, ale wozu zagrzęzłego nie chce się wycofać. A że osoby cesarza nie podobna oddzielać od polityki, więc rzecz łatwo zrozumiała, że Polacy ozięble zachowywać się będą podczas pobytu cesarza. Uroczystości będą nosiły na sobie charakter wybitnie urzędowy, co nie zakłóci zaiste najmniejszy wypadek.

Z powodu przyjazdu cesarza pędzą masy dla Polaków. Żyjemy ciągle pod następstwami gwałtownej polityki bismarckowskiej, przy której trwale stać jest niepodobieństwem — kończy *Kölnische Volks Zeitung*.

Kongres bartników austryackich, węgierskich i niemieckich, obraduje obecnie w Temeszwarze na Węgrzech. Obrady kongresu zagaił węgierski minister rolnictwa Daranyi.

Monografia Siemiradzkiego wyjdzie niebawem z pod pióra znanego rzeźbiarza R. Lewandowskiego nakładem warszawskiej firmy księgarskiej Gebethner i Wolff. Dzieło to będzie wydane bardzo ozdobnie z licznemi illustracyami.

Ponowny wybuch Mont-Pelée. Pisaliśmy wczoraj, że wulkan Mont-Pelée na Martynice wybuchł znowu. Dziś telegrafują nam, że wybuch ten (dnia 30 zm.) zniszczył miejscowości Marne Rouge i Ajouppa Bouillon. Zginęło około tysiąc osób, a kilkaset odniosło ciężkie rany. Gwałtowny przypływ morza wyrządził ogromne szkody. Wybuch był tak silny, że odczuto go nawet w Fort de France. Ludność popadła w straszną panikę. Dwa krążowniki odpłynęły na północ dla niesienia pomocy mieszkańcom.

O szczegółach wybuchu doszła nas następująca inna relacya: Od 15 sierpnia powtarzały się ciągle erupcye wulkanu Mont Pelée. Dnia 28 sierpnia w nocy usłyszano grzmot w wielkiej odległości, góra zionęła ogniem. Okręty, znajdujące się na pełnem morzu, pokryły się popiołem. W nocy dnia 30 sierpnia nastąpił silny wybuch. Nie można było zbliżyć się do St. Pierre od strony morza. Mieszkańcy miasta Le Carbet szukali schronienia w głębi wyspy. Gubernator rozkazał, aby wszystkie możliwe do użycia łodzie wysłano do Fort de France. Mieszkańców tego miasta zmusił do ucieczki w głąb wyspy napór wody morskiej. W Marne Rouge i w Le Carbet zginęło 200 ludzi; także w innych okolicach wyspy zginęło wiele osób.

Zmiana obrządku. *Diło* donosi, że gmina Koszlaki w powiecie zbaraskim, licząca 400 mieszkańców, zawiadomiła starostwo, iż przechodzi na obrządek łaciński. Powodem tej zmiany obrządku ma być według *Diła* nieobsadzenie parochii w Koszlakach od dwóch lat.

Zamach dynamitowy w Selzthal. Sprawca zamachu w Selzthal na p. M. Gutmanna, Hugo Scholz, pochodził z okolic Morawskiej Ostrawy, liczył 50 lat. W r. 1880 był kierownikiem szybu „Karolina“, będącego własnością firmy „Bracia Gutmann“, a następnie kierownikiem ruchu w Porembie i tu został spensyonowany, otrzymawszy dożywotnią pensyę w kwocie około 1500 koron; oprócz tego otrzymywał roczny zasiłek w kwocie 4000 koron od rodziny Wondraczków. Ustępując ze służby, otrzymał odprawę w kwocie 20.000 K., oraz zwrot wpłaconych do Kasy brackiej wkładek. W ostatnich czasach mieszkał z bratem swym w Gross-Pohlam, gdzie obaj gospodarowali i prowadzili browar. W pożyciu towarzyskiem był Scholz oprysk‌liwy, wskutek czego nie lubiono go powszechnie. Uważano go za człowieka, nie mającego zdrowych zmysłów.

Ostatnie chwile Augusta Mocnego. W głównem archiwum państwowem saskiem znajdują się akty, odnoszące się do ostatnich chwil Augusta II-go, które podaje *Deutsche Medicinische Wochenschrift*. Oto kilka ustępów:

„Cztery mile przed Warszawą, król popadł w omdlenie; ocucono go; gdy jednak służba w Warszawie chciała króla wysadzić z powozu, był całkiem nieprzytomny, nareszcie zapytał się:

— Mój Boże, gdzież ja jestem i co się ze mną dzieje?

Powiedziano mu, że jest w Warszawie i zaniesiono na królewskie pokoje.

Tu zdrowie króla poprawiło się, ale dnia piątego od przyjazdu, zaczął król znowu chorować; szóstego dnia choroba tak się wzmogła, że powstała wielka inflamacya w nodze (przedtem niedawno odjęto królowi duży palec), zimny pot był złym znakiem i służba około króla posmutniała, a niektórym łzy stanęły w oczach. Gdy król to spostrzegł, zapytał, co za przyczyna tego smutku, czy jego stan jest niebezpieczny? Na jego usilne prośby powiedziano mu prawdę. Słuchał spokojnie i zaczął roztrząsać swe życie, wyznając, że służył światu długo i dużo, ale Bogu mało i że nie żył tak, jak był żyć powinien, że ciężko grzeszył.

Na rozkaz króla przywołano O. Obarneville, spowiadał się przed nim całą godzinę w piątek rano (d. 30 stycznia 1733 r.). Dnia tego choroba wzmagała się coraz bardziej, a gdy go obecni ministrowie zapytali, czy — jeżeli wola Boża — na wypadek śmierci, nie chce jeszcze przed swym zgonem polecić zgromadzonej na sejm Rzeczypospolitej swego syna na następcę, król odrzekł, że nosił koronę cierniową, więc pozostawia synowi wolność, czy ją przyjmie; życzy mu jej wprawdzie, ale także, by miał przy niej więcej szczęścia, niż on sam. W piątek przychodził spowiednik jeszcze dwa razy, a w sobotę król się komunikował. Gdy chciał dewocye swe klęcząco odprawić, omdlał i upadł. Zaniesiono go na łoże. W niedzielę w nocy o godzinie drugiej chciał król uklęknąć przy Mszy, ale upadł. Położono go do łóżka, zaraz potem utracił mowę, po półtorej godziny, o $3\frac{1}{2}$ wróciła mu przytomność i przemówił kilka słów. O 4-tej znowu się podniósł, błogosławił otaczających, a opadłszy na poduszki, wzniósł rękę, przycisnął sobie oczy i ducha wyzionął“.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 12, w poł. + 16 R. Bar. 771. Podnosi się. Pochmurno.

Z albumu panny NN.

Kureczka ma kogucika,
Czyżykowa ma czyżyka,
Wężowa ma sobie węża,
Więc ci życzę Cesiu męża.

Rady praktycznej matki.

I. Nie patrz, córko, na lata, nie patrz na urodę
(Zestarzeje się wszystko, co jest dzisiaj młode);
Nie patrz, córko, na rozum: czy duży, czy mały,—
Lecz badaj przedewszystkiem: czy są kapitały.
II. Kupuj złoto, koronki, brylanty i wstążki,
Lecz, pamiętaj, nie marnuj pieniędzy na książki.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś po raz 2gi „Wdowa z Malabaru“ operetka w 3 aktach Hervé'go. — We czwartek (wznowienie) „Pietro Caruso“ dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład J. Kasprowicza, występ R. Żelazowskiego w roli tytułowej; „Maski“ dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład J. Kasprowicza, występ R. Żelazowskiego, i „Majster i czeladnik“ kom. w 2 aktach J. Korzeniowskiego, debiut Huberta Brzozowskiego, artysty teatru ludowego w Warszawie. — W piątek po raz 3ci „Wdowa z Malabaru“.

Korespondencya Administracyi. *JW. Pan Józef Bartmański w Tadaniu.* Prenumerata jest zapłacona do końca września b. r.

Literatura i sztuka.

* **Biblioteka utworów dramatycznych.** Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie. Tom I Björnsterne Björnson: „Laboremus“, tłómaczył dr. Alfred Wysocki. II. Herman Hejiermanns: „Nadzieja,“ tłómaczył Jan Kasprowicz. III. Eurypides: „Cyklop,“ tłómaczył Jan Kasprowicz. IV. Franciszek Grillparzer: „Biada kłamcy,“ tłómaczył Jan Kasprowicz. V. Maurycy Maeterlinck: „Intruz,“ tłómaczył Zygmunt Bytkowski.

Księgarnia Altenberga, jedna z najruchliwszych we Lwowie, podjęła się wydawnictwa, które ma na celu rozpowszechnianie wśród publiczności tych utworów modernistycznej literatury, które już zyskały ogólne uznanie. Wydawnictwo to nosi nazwę „biblioteki utworów dramatycznych,“ obejmuje jednak także utwory literatury starszej, tudzież klasycznej, np. Grillparzera, Euripidesa. W powyższym spisie uderzają nas tytuły utworów, które już z powodzeniem przeszły próbę sceniczną w naszym teatrze: „Nadzieja,“ „Intruz,“ „Biada kłamcy,“ tudzież nazwisko Kasprowicza jako tłómacza, nazwisko gwarantujące niejako za doskonałość przekładów. Biblioteczka ta tania, a wydana starannie zasługuje na popularność u publiczności. Pod prasą jest pięć dalszych tomików, mianowicie dramaty Ibsena, Maeterlincka, Bracca, podobno i Kaweckiego „Dramat Kaliny“ ma wyjść w tej biblioteczce.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 2 września.

(Z.) Z Berlina wyszedł dziś impuls do dosyć znacznej zwyżki niektórych naszych walorów, w pierwszym rzędzie akcyi kredytowych. Niewiadomo bowiem z jakiego źródła rozeszła się tam dziś pogłoska, że austryacka renta wspólna, od której państwo, jak wiadomo, opłaca dotychczas $4\frac{2}{10}\%$, ma być niebawem skonwertowaną. Ponieważ zaś w Austryi grupa Rotszyldowska ma niejako monopol przeprowadzania wszystkich konwersyi, zaś w tej grupie Zakład kredytowy dla handlu i przemysłu odgrywa dominującą rolę, przeto spekulanci berlińscy kupowali skrzętnie akcye tego Zakładu i podnieśli ich kurs o 3 korony. Swoją drogą i nastrój tutejszej spekulacyi był dziś korzystny, co przyczyniło się do ożywienia targu. Mówiono, że jeszcze tej jesieni zapadnie orzeczenie pełnego senatu (t. z. plenissimarne) najwyższego trybunału, dotyczące judykatury sądów w sporach o różnice z interesów giełdowych. Sfery giełdowe spodziewają się, że to orzeczenie będzie korzystne dla firm, trudniących się pośrednictwem w interesach giełdowych i utrudni uchylanie się niesumiennych graczy od płacenia różnic kursowych. Stosunkowo najlepiej wypadły dzisiejsze obroty w akcyach kolejowych. Z wyjątkiem akcyi kolei północno-zachodniej podniosły się zresztą wszystkie papiery tej kategoryi. Z bankowych akcyi notowano niżej tylko akcye Länderbanku, Unionbanku i banku austro-węgierskiego. W walorach przemysłowych tendencya była podzielona. Praskie akcye żelazne, akcye naftowe i akcye przedsiębiorstw elektrycznych uzyskały znaczne zwyżki, natomiast alpiny, czeskie akcye górnicze i akcye przedsiębiorstw budowlanych spadły. Spekulacya w walorach tureckich przybiera coraz większe rozmiary, a ogniskiem jej jest już nietylko Paryż, ale także Berlin, gdzie, jak to już doniosłem, utworzył się komitet dla ochrony interesów niemieckich posiadaczy tych papierów. Dziwnie jednak odbijają od tej spekulacyi zwyżkowej doniesienia o opłakanym stanie finansów tureckich. Podobno turecki minister finansów przez kilka dni robił niemałe wysiłki, by zebrać stosunkowo drobną kwotę na koszta przyjęcia eskadry rosyjskiej i włoskiej i dopiero po długich staraniach pożyczył mu bank ottomański 50.000 funtów tureckich.

Z Buenos Ayres donoszą, że w całej Argentynie panuje ogromna posucha. Pastwiska są jakby wypalone, to też bydło wygląda bardzo nędznie, a także zbiory zboża będą liche.

W Stanach Zjednoczonych Zawiązał się nowy trust, mięsny, z kapitałem 500 milionów dolarów. Prezesem jego jest znany przemysłowiec i finansista Armour.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 688·00, węg. Zakł. kredyt. 735·00, Anglobanku 276·50, Unionbanku 537·00, Länderbanku 422·00, Bankvereinu 456·00, Bodencredit 933·00, Gal. Banku hip. 537·00, Statsbahny 718·00, Lombardy 73·25, Kol. Elbethal 467·50, Północnej 5740, Czerniowieckiej 566·00, Alpiny 380·50, Rima Muranyi 501·00, Praskiego Tow. żel. 1510, Fabryki broni 000·00, Tureckie tytoniow. 314·00, Oblig. węg. indemniz. 97·70, Renta majowa 101·80, Austr. renta koronowa 100·05, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, $4\frac{1}{2}\%$ Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, $4\frac{1}{2}\%$ Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·25, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·50, 4% Poż. m. Lwowa 94·50, Losy tureckie 118·50, Marki 117·00, Ruble 253.00.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Lussin Piccolo 3 września. Onegdaj z nastaniem nocy eskadra, jadąca z przysłoniętemi światłami, została zaatakowana przez flotyllę torpedowców i oddała nawzajem ślepe strzały. Flotylla następnie połączyła się z eskadrą. Wczoraj o 6 rano okręty znajdowały się na wysokości południowego przylądku Istryi. Cała eskadra z wielką szybkością wykonywała rozmaite ruchy taktyczne i strzelała do dwóch tarcz, umieszczonych na pełnem morzu z bliska i z daleka. Zaraz po pierwszym strzale, który padł z okrętu „Monarch“, zwaliła się pierwsza tarcza, wkrótce potem i druga została przebita kilkoma celnymi strzałami. Cesarz z pokładu „Miramar“ przypatrywał się ćwiczeniom i wyraził najwyższe uznanie. Następnie podzieliły się okręty na stronę atakującą i broniącą się. Pierwsze oddaliły się wraz z parowcami Lloydu na zachód wyspy San Sego. Strona broniąca się udała się wraz z torpedowcami do Poli. O godz. 10 m. 30 przed południem walka zaczęła się. Strona zaczepna wysłała do Poli okręt rekognoscyjny, oraz lekką dywizyę, aby zabezpieczyć sobie drogę do Lussin. O 2 popołudniu strona atakująca dotarła do Lussin, który jest punktem wyjścia do dalszych operacyj, dlatego jest zamknięty przez okręty.

Lussin Piccolo 3 września. Wczoraj o 2 popołudniu przybył tu Cesarz, witany entuzyastycznie przez ludność. Ze statków bogato przystrojonych oglądała publiczność wjazd Cesarza. Cesarz dziękował burmistrzowi, staroście i namiestnikowi za tak piękne i patryotyczne przyjęcie. Monarcha w łodzi dworskiej okrążył port. Wieczorem na pokładzie jachtu „Miramar“ odbył się obiad, na który zaproszeni byli wyżsi urzędnicy.

Florencya 3 września. Wczoraj odstąpili od strejku woźnice i reszta służby tramwajowej, zamiatacze ulic i kelnerzy. Strejkują jeszcze robotnicy metalurgiczni. Zecerzy odbędą zgromadzenie, na którem mają powziąć uchwałę co do dalszego postępowania.

Sofia 3 września. Policya aresztowała w miejscowości Radomir Zonczewa i odstawiła go do Sofii, gdzie już poprzednio aresztowano Michajłowskiego i innych członków dysydenckiego komitetu macedońskiego. Lokal komitetu opieczętowano. Borys Sarafow odjechał podobno za granicę.

Poczdam 3 września. Król włoski ofiarował dla biednych tutejszych 10.000 lirów.

Tanger 3 września. Do Biura Reutera donoszą z Maquinez: Szczepy berberyjskie zaatakowały miasto Maquinez i zrabowały wiele bydła targowego. Dzięki interwencyi gubernatora, zdołano napastników ułagodzić. Dzielnica żydowska jest zamknięta i zabarykadowana. Mieszkańcy są w wielkiej obawie o swe życie. Zewnętrzny wał jest obsadzony przez nieprzyjaciela. W dzielnicy krajowców krąży pogłoska, że napad ten nastąpił na korzyść brata sułtana.

Petersburg 3 września. W obecności ministra sprawiedliwości Murawiewa rozpoczęła się w Charkowie rozprawa przeciw chłopom o udział w rozruchach. Liczba oskarżonych wynosi 300. Obecnie toczy się rozprawa tylko przeciw 40. Podczas rozprawy stoi za każdym oskarżonym żołnierz z dobytą szablą. Rozprawa jest tajna.

Rozruchy antiserbskie w Zagrzebiu.

Zagrzeb 3 września. Onegdaj wieczorem przybrały demonstracye ogromne rozmiary. Niezliczony tłum ekscendentów gasił latarnie i wśród okrzyków przeciągał ulicami. Tłum rozbijał sklepy serbskie i kawiarnie i wszystkie zrabował i zniszczył kompletnie. Policya była zupełnie bezsilną i musiała ograniczyć się do obrony własnej. Zarekwirowano wojsko; przybyły jednak tylko dwie kompanie, gdyż reszta załogi jest na ćwiczeniach. Wojsko to także nie zdołało zażegnać ekscesów. Tłum wyparty z jednej ulicy, gromadził się w innej. Do godziny 2-giej po północy trwały rozruchy, wiele osób jest rannych, wiele aresztowano. Wczoraj wydano proklamacyę, zabraniającą gromadzenia się na ulicach. Sklepy mają być zamykane o godzinie 9-tej wieczór. Bramy domów o 7-mej. Przedstawienie w teatrze odwołano.

Wczoraj już o świcie tłumy ludności zapełniły ulice, pokryte połamanymi szyldami sklepowymi, potłuczonemi szybami, potrzaskanemi żaluzyami żelaznemi i t. d. Ulice przedstawiały widok jakby po zbombardowaniu miasta. Wiele domów obrzucono błotem i uszkodzono. Ulicami przeciągała policya konna uzbrojona w rewolwery. W pobliżu placu Jellaczyca ustawiono kompanię piechoty i ambulans sanitarny. O godzinie 11-tej przedpołudniem zamknął kordon wojskowy ulicę Illiki, wkrótce jednak otwarto ją znowu. W górnej części tej ulicy zgromadzili się chłopi i przygotowali nową demonstracyę na noc.

Z nastaniem ciemności zebrał się wielki tłum ludzi, który został wprawdzie rozproszony przez policyę, później jednak zgromadził się na nowo. Podczas gdy policya oczyszczała plac Jellaczyca, zebrał się tłum na placu Kapitulnym, odpędził policyę i wybił mnóstwo szyb. Także na Prilacu motłoch powybijał szyby. Spensyonowany kapitan Wittas strzelił do tłumu i trafił jakiegoś pomocnika rzeźnickiego w lewą pierś. Ponieważ sytuacya na placu Kapitulnym stawała się coraz groźniejszą, użyto $1\frac{1}{2}$ kompanii i $\frac{1}{2}$ szwadronu do oczyszczenia go.

Z prowincyi również donoszą o demonstracyach przeciw Serbom z Karlsztadu, Wukowiec, Ogulina, Gospicy i Gorzicy. W Gospicy przyszło do rozlewu krwi; ogółem zraniono 29 osób, z tych 6 ciężko. Z faktu, że demonstranci wiedzieli dokładnie gdzie mieszkają Serbowie, wnoszą, że ekscesa były z góry uplanowane. Donoszą, że Kroaci w całym kraju zamierzają oddalić ze swej służby wszystkich Serbów i bojkotować kupców serbskich. Sklepy serbskie wszędzie pozamykano.

(Depesze popołudniowe).

Zagrzeb 3 września. Na Prilasu wywarł tłum demonstrantów swą wściekłość na mieszkaniu kapitana Wittasa. Demonstranci pogasili i poniszczyli latarnie. Tłum rósł z każdą chwilą. Powyrywano i wyniesiono lady sklepowe i z nich zbudowano barykady w kierunku do ulicy Nacsics. Tłum powyrywał deski z pobliskiego parkanu i manewrował niemi w ten sposób, że po dwóch demonstrantów unosiło deskę za końce i na komendę „ognia!“ waliło w okna.

Pół szwadronu ułanów oczyściło ulicę, ale ledwie ułani odjechali, tłum zebrał się na nowo, wtargnął do pomieszkania kapitana Wittasa i zupełnie je zdemolował. Meble powyrzucano oknami. Wittas z żoną ratowali się ucieczką przez płot. Stąd pociągnął tłum na ulicę Medulos i wybijał szyby. Wysłano tam kompanię piechoty. Północną część placu Kapitulnego oczyściło wojsko bez trudu i do starcia nie przyszło. W innej stronie miasta napadł tłum na dom kupca serbskiego Matijevicsa, pozabierał belki z budującego się właśnie kanału i zapomocą nich wybijał szyby i niszczył wszystko.

Petersburg 3 września. Dziennik urzędowy ogłasza, że odmienny stan carowej Aleksandry Teodorówny skutkiem nieprzewidzianego przebiegu skończył się poronieniem. Temperatura i puls normalne.

Sofia 3 września. Uwięzienie członków komitetu Zonczewa nastąpiło dlatego, że komitet ten niedawno utworzył nową bandę i układał wielką jakąś demonstracyę.

Konstantynopol 3 września. Przybył tu admirał włoski Palumbo. Powitała go deputacya, wysłana przez sułtana. Powozem cesarskim pojechał Palumbo do Yildiz pałacu i był wraz z włoskim ambasadorem u sułtana na posłuchaniu. Sułtan nadał admirałowi wielką wstęgę orderu Osmanie z brylantami. Wszyscy oficerowie włoscy, towarzyszący admirałowi, otrzymali również odznaczenia. W tych dniach nastąpi wręczenie sułtanowi podarków od króla Wiktora Emanuela.

Kraków 3 września. Pisma donoszą, że Stanisław Baliński aresztowany z końcem roku 1893 w sprawie agitacyi polskiej partyi socyalistycznej w Warszawie, a po $3\frac{1}{2}$-letniem więzieniu śledczem skazany na 10 lat wygnania do Średniokołyńska, jednego z najdalszych punktów Syberyi, uciekł z Jakucka i przebywszy 1000 kilometrów drogi, stanął w Europie, na terytoryum, nie należącem do Rosyi.

Dnia 15 b. m. odbędzie się w Łańcucie zjazd rady stronnictwa chrześciańsko-ludowego z następującym porządkiem dziennym: 1) sprawa polskiego domu w Bielsku; 2) sprawa narodowa wobec strejków rolnych; 3) parcelacya obszarów dworskich we wschodniej części kraju, zgłoszonych do spółki.

Dnia 19-go października nastąpi otwarcie polskiego domu w Bielsku wraz z obchodem rocznicy grunwaldzkiej.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 3 września. Hr. F. Czosnowski z Orszumla. K. Dorożyńska z Podola rosyjskiego. H. Fischer z Wiednia. J. Jórski z Warszawy. H. Prek z Łuki. G. Scharf z Wiednia. L. Fromer z Wiednia. M. Briouse z Paryża. A. Boecker z Jurjewki. A. Borkowski z Kielca. W. Markowski z Powaszowa.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 3 września. K. Krynicka z Krynicy. H. Sawczyńscy z Bełza. P. Leśniewicz z Kamieńca podolskiego. N. Fallböhmer ze Skolego. M. Pokiński ze Strzyżowa. H. Mandelbrod z Wiednia. N. hr. Russocki z Krystynówki. O. Brzezińska z Radziwiłłowa. J. Pokiński ze Stryja. F. Kerekjarto ze Stanisławowa. Z. Wisłocki z Rosyi. J. Szalamonowie z Kędzierzawiec. N. Wojtkowski z Grzymałowa. T. Kulikowski z Rosyi. M. Rudnicka z Rosyi. A. Friesch z Trembowli. M. Gwitowicz z Poznania. A. Müller z Wilna. W. Wiselowie z Krakowa. J. Steiner z Budapesztu. G. Kalarus ze Stryja. T. Wojnarowski z Baliniec. H. Mollitz z Wiednia. L. Suchodolski z Krakowa. H. Góralscy z Bełza. J. Jakubowski z Huwnik. E. Domański z Tarnowa. H. Morawicki z Gródka.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki

ALBERT SZKOWRON

Przyjechali dnia 3 września. Hr. Korytowska z Narola. K. Romański z Uładówki. N. Polański z Rudnik. K. Niwicka z Bortnik. A. Wołkowicki ze Strzyżowa. M. Dembicka z Turki. E. Stanek z Bozen. J. Privôt z Nancy. A. Fischler z Kretschen. J. Lewicka z Koniowa. B. Topolnicki z Chyrowa. M. Rosenthal z Wrocławia.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 3 września.

Marki 117.02, renta majowa 101.80, węg. renta koronowa 97.90, Akcye: austr. zakł. kredyt. 687.50, węg. zak. kred. 736.00, anglobanku 276.50, unionbanku 539.—, bankvereinu 457.00, länderbanku 422.50, kolei państw. 720.25, lombardy 78.50, akcye kolei Elbethal 467.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 315.00, alpiny 381·00, Rima Muranyi 501.50, pragskiego Tow. żel. —·—, losy tureckie 118.50, ruble 253·50. Usposobienie silne.

Wiedeń 3 września. Kurs giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 266.—

" " " " " 1889 3% 263.—

Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4% —.—

Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 284.—

Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 254.—

Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 89·75

Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 115·75

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19·30, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 427.—, Clary 40 zł. m. k. 202.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 73.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 75.—, Ofen 40 zł. 196.00. Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.70, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·50. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 76.—, Salma 40 zł. m. k. 236.00, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 424.—.

Wiedeń 2 września. (Giełda towarowa). Cukier 17·10 (spokojnie). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez zmiany) 40·—.

Berlin 2 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·55. Spirytus 00·00.

Paryż 2 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·55. Mąka („Fleur de Paris“) 27·25.

Frankfurt 3 września. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 217·00. Koleje państwowe 000·10 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 187·50. Laura 000·00.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1·35, 8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50,

Z Rzeszowa: 10·25.

Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.

Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35, 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.

Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.

Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.

Ze Stanisławowa: 11·55.

Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.

Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.

Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele i święta) 8·14, 8·04*.

Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45*, 8·30, 2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*

Do Rzeszowa: 8·30.

Do Przemyśla: 8·25*.

Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.

Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.

Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.

Do Czerniowiec: **2·51*, 2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.

Do Stanisławowa: 6·10*.

Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.

Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.

Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.

Do Janowa: 9·15, 1·25, 8·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

15)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy.)

— Ciekaw też jestem, kto dzwonił?... — pomyślał dr. Kemp.

Chciał się znowu zabrać do roboty, ale nie mógł. Wyszedł na schody i przechylając się przez poręcz, zobaczył w sieni służącą.

— Czy to był list? — spytał.

— Nie, proszę pana — odparła. — Dzwonił zapewne jakiś łobuz, bo jak poszłam otworzyć, to już nikogo nie było.

— Jestem dziś niezwykle rozstrojony... — myślał dr. Kemp. Wrócił do pracowni, począł pisać i niebawem pogrążył się zupełnie w swej robocie. Ciszę przerywało tylko cykanie dużego, ściennego zegara.

Była już druga, gdy dr. Kemp wstał od biurka. Ziewnął, przeciągnął się i poszedł do swego sypialnego pokoju na górę. Zdjął już był surdut i kamizelkę; nagle pić mu się zachciało. Wziął świecę i zeszedł do jadalnego pokoju po syfon z wodą sodową i butelkę koniaku. Badania naukowe zaostrzyły w doktorze zmysł spostrzegawczy; wracając na górę, zauważył ciemną plamę u stóp schodów. Zaciekawiony, nachylił się i dotknął owej plamy. Była to krew, już skrzepła. Szedł na górę, przypatrując się stopniom schodów. Czekało go nowe zdziwienie. Klamka u drzwi sypialnego pokoju była także krwią zawalana.

Obejrzał swoje ręce. Były czyste. Teraz dopiero przypomniał sobie, że wchodząc po raz pierwszy do sypialni, zastał drzwi otwarte, tak, że wcale się klamki nie dotykał. Wszedł krokiem stanowczym, pewnym, gotów w razie potrzeby stawić czoło wszystkiemu, co go mogło spotkać za temi drzwiami.

Dywanik przed łóżkiem był także krwią obryzgany, a kołdra uchylona. Doktor nie spostrzegł tego za pierwszym razem, bo wtedy podszedł do toalety, nie zaś do łóżka. Teraz odsłonił kołdrę: na materacu były wklęśnięcia, jak gdyby ktoś na nim siedział.

Wtem zdało mu się, że słyszy głos przyciszony.

— Tak, to Kemp!... — zawołał ów głos.

Ale doktor nie wierzył w duchy, ani w głosy niewidzialne. Rozejrzał się po pokoju, nie spostrzegł jednak nic, oprócz tego, co już był zauważył.

Wtem usłyszał kroki, zmierzające do umywalni.

Najuczeńsi ludzie w głębokich zakątkach duszy ukrywają pewne przesądy. Kemp drzwi zamknął, postawił syfon i butelkę na nocnym stoliku. Nagle zobaczył okrwawiony płat, wiszący w powietrzu. Chciał zbliżyć się, dotknąć go, bo oczom własnym nie wierzył, lecz w tejże chwili usłyszał nad uchem głos przyciszony:

— Kemp!... — mówił ten głos.

Doktor ze zdziwienia usta otworzył.

— Nie przestraszaj się... — szeptał głos — ja jestem Niewidzialny.

Kemp milczał; nie mógł oderwać oczu od bandaża.

— Człowiek Niewidzialny?... — powtórzył. Przypomniał sobie historyę, która mu się wydawała tak śmieszną.

— Sądziłem, że to kłamstwo... — rzekł. — Czy jesteś owiązany bandażem?

— Tak — odpowiedział głos.

— To chyba żarty... — zawołał Kemp, przysuwając się do okrwawionego bandażu. Jego ręka dotknęła niewidzialnych palców. Drgnął i zbladł.

— Nie przestraszaj się, Kemp, na miłość Boską... Zachowaj zimną krew. Stój!...

Ręka chwyciła go za ramię. Uderzył ją z całych sił.

— Kemp! — zawołał głos — Kemp, nie trać zimnej krwi...

Ręka trzymała go coraz mocniej.

Kemp chciał się oswobodzić od tego uścisku, ale został obalony na łóżko. Otwierał usta, aby wezwać pomocy, lecz zatkano mu je prześcieradłem. Miał jeszcze wolne ręce — bił niemi na oślep.

— Radzę ci leżeć spokojnie... — mówił Człowiek Niewidzialny.

Kemp borykał się, wreszcie zaniechał walki.

— Nie krzycz, bo musiałbym cię zakneblować... — ostrzegał go przeciwnik. — Ja jestem naprawdę niewidzialny... — mówił — i potrzebuję twojej pomocy. Nie chcę ci robić krzywdy, ale gdybyś mnie nie słuchał, będę zmuszony cię poturbować. Czy mnie nie pamiętasz?... Ja jestem Griffin, z Uniwersyteckiego Kolegium...

— Pozwól mi usiąść. Obiecuję, że będę siedział spokojnie... — szepnął Kemp.

Tej próbie stało się zadość.

— Jestem Griffin, z University College... — ciągnął dalej Głos. — Uczyniłem się niewidzialnym.

— Griffin?... — podchwycił Kemp.

— Tak, Griffin... — odpowiedział Głos. — Byłem młodszy od ciebie... Pamiętasz: albinos — sześć stóp wysoki, barczysty, twarz biała, rumiana, oczy czerwone; ten, co dostał złoty medal za chemię?...

— W głowie mi się mąci... Nie rozumiem, co ty możesz mieć wspólnego z Griffinem?

— Ja jestem Griffin.

Kemp zastanowił się.

— To okropne!... — rzekł. — Jakimiż czarami doprowadziłeś się do niewidzialności?...

— Żadnymi czarami; za pomocą procesu dość jasnego i zrozumiałego.

— To okropne! — powtórzył Kemp.

— Istotnie, w tej chwili to okropne dla mnie. Jestem ranny, zmęczony... Kemp, zlituj się. Daj mi jeść i pić.

Kemp patrzał na bandaż, idący przez pokój, potem taboret zawisł w powietrzu, stanął przy łóżku; siedzenie z kilimka osunęło się o pół cala. Doktor przetarł oczy.

— To coś lepszego od duchów... — rzekł.

— Widzę, że nabierasz rozsądku... — odparł mu Głos.

— Albo tracę rozum... — wtrącił Kemp.

— Daj mi trochę koniaku. Upadam ze zmęczenia...

— Gdzież ty jesteś?... Boję się nastąpić ci na nogę. Tutaj? Dobrze... Chcesz koniaku? Jak ci mam podać? — pytał doktor.

Niewidzialna ręka odebrała mu z rąk kieliszek. Zawisnął w powietrzu. Kemp patrzał na to z niepokojem, a może i ze strachem.

— To niewątpliwie hypnotyzm... — szepnął — Wmówiłeś we mnie, żeś jest niewidzialny...

— Głupstwo... Posłuchaj mnie.

— Dziś rano właśnie udowodniłem, że niewidzialność...

— Mniejsza o to, coś udowodnił... Ja tu umieram z głodu i jestem zziębły, jak pies... Czy masz jaki szlafrok?

Kemp zaklął cicho, ale poszedł do szafy i wyjął z niej stary szlafrok ponsowy.

— Czy dobry?... — zapytał.

Szlafrok został mu z rąk wyrwany, wisiał przez chwilę w powietrzu, potem zaokrąglił się, wypełnił, zapiął się i usiadł na krześle.

— A taraz dawaj mi skarpetki, pantofle i coś do zjedzenia...

— Co tylko chcesz; przyznaję, że w życiu mojem nie byłem jeszcze w tak głupiej sytuacyi...

Wyjął z szuflady żądane artykuły toaletowe, poczem zeszedł na dół po jedzenie. Wrócił niebawem, niosąc chleb i kotlety na zimno; postawił talerz na stole przed swym gościem.

— Mniejsza o nóż i widelec... — rzekł gość. Kotlet uniósł się w powietrze.

— To dziwne... — mruczał dr. Kemp.

— Tak, dziwne, że trafiłem właśnie do twego domu. Pierwszy raz posłużyło mi szczęście... Przenocuję tutaj. Nie wypędzisz mnie przecież... Jestem tu od trzech godzin.

— Wytłómacz-że mi, jakim sposobem doprowadziłeś się do takiego stanu. Pojąć nie mogę...

— A jednak to zupełnie zrozumiałe.

Nalał sobie znowu kieliszek koniaku. Doktor przyglądał się temu, nie wierząc własnym oczom...

— Kto cię ranił i dlaczego? — zapytał.

— To głupia sprawa... Prowadzę ze sobą włóczęgę, obierwańca... Pomaga mi w drodze... Otóż okradł mnie z pieniędzy...

— Czy i on jest niewidzialnym?

— Nie. Ale daj mi co do zjedzenia; potem ci wszystko opowiem.

— Czy to ty strzelałeś? — spytał Kemp.

— Nie ja — odparł intruz — tylko jakiś waryat. Wszyscy się na mnie sprzysięgli... Ale o tem potem... Dawaj jeść, Kemp...

— Pójdę po resztki z obiadu.

Gość złożył dowód olbrzymiego apetytu; najadłszy się, poprosił o cygaro. Odgryzł koniec, zanim Kemp zdążył mu podać scyzoryk. Podczas gdy palił, usta, gardło i przełyk stały się widzialne, jakby przez mgłę. Zabawnie było na to patrzeć!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Czerlańskiej. — Z drukarni E. Winiarza.